

*Wykwintna
Czekolada Deserowa*
Electa
Bracia Nowieccy
WARSZAWA - KROLEWSKA 27 - NOWY-ŚWIAT 63

ROK
XXII

ŚWIAT

No
49

WARSZAWA, DNIA 3-go GRUDNIA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

KSIĄŻKI GWIAZDKOWE
w dużym wyborze już przygotowała
Księgarnia KSIĄŻNICY-ATLASU
Warszawa, Nowy Świat 59
Wysyłka katalogów na żądanie bezpłatnie

† Stanisław Przybyszewski

(ur. 6 maja 1868 r. w Łojewie, zmarł 23 listopada 1927 r. w Jarontach).



P U D E R
HYGIENICZNY
w 4-ch
KOLORACH

nieszkodliwy, przylega ściśle do skóry
i czyni ją matową przejrzystą

WYRÓB APTEKI

M. MALINOWSKIEGO

W WARSZAWIE, - - - NOWY-ŚWIAT 31

CZEKOLADA MLECZNA
WEDLA
O WYBITNYM SMAKU MLEKA

WODA KOLONSKA KWIATOWA

„Fleurs Polonaises”
(KWIATY POLSKIE)



BROCARD & Cie
Succ. de VARSOVIE PARIS

Na wiejskim, rozmokłym cmentarzu w Górkach złożono na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. Stanisława Przybyszewskiego. Dzieło jego przed dwudziestu laty hipnotyzowało młode pokolenie. Był artystą o sugestywnym, egotycznym na świat wejrzeniu. Stworzył sobie własne królestwo ducha. Przyszłość z podziwem patrzeć będzie na ten swoisty, gigantyczny wysiłek. Nie było bowiem w Przybyszewskim nic zapożyczonego.

Syn ziemi nadgoplańskiej, przechował w wyobraźni swojej wszystkie krasy i uroki rodzinnych pól, torfowisk, zagajników. Myśl jego twórcza stale oplatała się dookoła pierwszych wrażeń dzieciństwa. Światoburcze swoje melodie snuł pod akompaniament tych doznań psychicznych. Pragnął być śpiewakiem duszy. Jej drogom i bezdrożom poświęcił całożyciowy trud. Ufał, iż tylko ten świat zainteresowań godny jest artysty. Niósł wysoko sztandar sztuki, całopaląc na jej ołtarzu wszystkie troski, bóle, nadzieje. Pod urokiem jego niezwykłej indywidualności byli nie tylko rodacy. Niemcy, Szwedzi, Norwegowie, Rosjanie składali mu hołdy. Wpływ artystyczny Przybyszewskiego sięgał Bułgarii, Jugosławii, Czech. Tłumaczono go na liczne języki.

Nie stworzył jednak szkoły, choć miał naśladowców. Ekstatyczna, wizyjna, płonąca jego wyobraźnia była tak indywidualna, że nikt nie mógł jej dorównać. Słowo Przybyszewskiego rozlewne, majestatyczne, pełne dźwiękowych i obra-

zowych czarów nie mogło też znaleźć imitatorów. Wszelkie próby kończyły się klęską. Tylko on potrafił być władcą w świecie, stworzonym przez jego wyobraźnię i tragiczną metafizykę.

Przybyszewski, twórca własnego poglądu na życie, hipnotyzował nie mniej od poety „Nad morzem”. Od zarania swojej kariery pisarskiej posiadał ukształtowaną świadomość artystyczną. Tak w Berlinie, jak później w Krakowie, głosząc kult „nagiej duszy”, opierał się na przewyżczeniu mechanistycznego na świat poglądu. Była to epoka tryumfu witalizmu. Przybyszewski, wychowanek berlińskiego uniwersytetu, przetransponował na swój sposób irracjonalizm i uczynił z niego podstawę pod hasło sztuki dla sztuki. Było to wyzwolenie od koszmaru niewiedzy. Skoro wszystko jest niepewne, pozbawione przyczyny, dającej się ująć racjonalnie, niech choć sztuka będzie świątynią, ucieczką dusz udrezczonych walką z wielką tajemnicą bytu. Artysta, idący drogami „nagiej duszy”, miał przez irracjonalne a uporczywe odsłanianie tajników swojej twórczej psychiki sięgać w głębiny Absolutu.

Równorzędnie głosił Przybyszewski nową genezis nie z ducha, lecz z chuci. Bo „na początku była chuć”, jak mówiła jego parafraza słów świętej księgi.

Tragizm człowieka tkwił w odpowiedzialności za „taniec miłości i śmierci”, wśród którego żyć musi każda jednostka. Rewolucjonista Przybyszewski nie uchylał się od

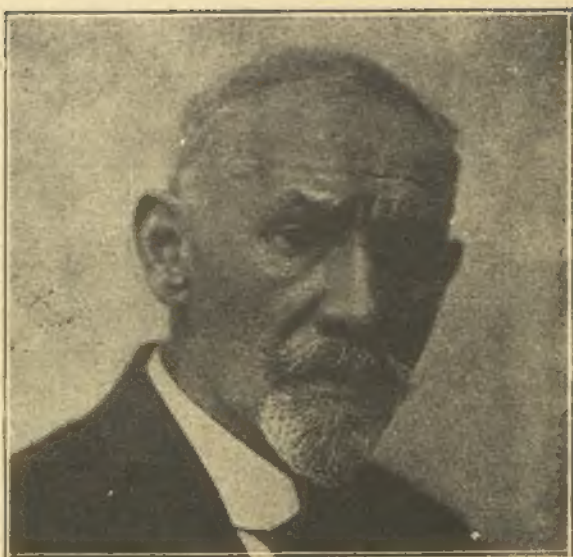
grozy „grzechu, co się mści”, choć jest jakgdyby poza wolą ludzką.

Na koncepcji tej stworzył wszystkie najbardziej wartościowe dramaty: „Dla szczęścia”, „Złote Rucho”, „Goście”, „Śnieg”. Sumienie ludzkie wyolbrzymił do żywiołu niszczącej, ślepej, nieodwołalnej potęgi.

Tą postawą ideologiczną wstrząsnął co wrażliwsze, co głębsze umysły Polski z przed lat dwudziestu. Sztuka jego dramatyczna usiłowała współczesnego człowieka pokazać na koturnach klasycznej, odpowiedzialnej za życie tragedji. Był to ton nowy w naszej sztuce. Nie mieliśmy przecież wtedy tragedji, twórczość nasza teatralna obracała się w ramach komedji lub sztuki historycznej. W teatrze Przybyszewski przeprowadził również płodną w następstwa reformę. Od wystawienia jego sztuk aktor nasz zaczął wstrząsać nie gestem, pozą, deklamacją, lecz skupieniem, pogłębieniem, celowością świadomych akcentów w grze.

Stanisław Przybyszewski-powieściopisarz pozostawia po sobie cykle „Homo Sapiens”, „Mocny człowiek”, „Dzieci Nędzy”. I te utwory swojego czasu były bardzo poczytne i modne. Rzucano na nie gromy, za „niemoralność”. Gdy się je porówna z beletrystyką naszych czasów—zadziwiają moralnym ujęciem zjawisk życia erotycznego. Przybyszewski, pokazując swój „Taniec miłości i śmierci”, usiłował wydarzenia fabuły powiązać w pewien spłót dramatycznie - psychologiczny: jego bohaterzy ginęli, męczyli się, filozofowali, ale nigdy nie przechodzili łatwo wobec własnych czy cudzych czynów.

W pewnych kołach snobistycznych dużego autorytetu zażywał twórca „Il regno doloroso”, jako satanista, okultysta, mag. Przybyszewski dla średniowiecznych praktyk „Synagogi szatana” zachował przez całe życie zainteresowanie. Gdy stracił wiarę w naukę jeszcze za lat uniwersyteckich, szukał w wiedzy tajemnej wyjaśnień dla swoich zaciekawień intelektualnych. Przybyszewski wyróżniał się bowiem wielką chłonnością umysłu. Był człowiekiem o niezwyklej skali intelektualnych potrzeb. Do śmierci zachował żywość i wrażliwość wielkiej swojej inteligencji. Muzyka w życiu jego była chlebem powszednim. Odczuwał piękno dźwięku nadzwyczaj głęboko. Czarował sam, jako odtwórca Chopin’a, Schumann’a, Beethovena. Pozostawił po sobie książki o Chopinie, poematy złożone w hołdzie twór-



S. p. Stanisław Przybyszewski

cy genialnych mazurków. Jego studjum pod tytułem „Z gleby kujawskiej” otworzyło wrota sławy J. Kasprowiczowi. Pomógł St. Wyspiańskiemu do realizacji jego dramatów na scenie. Umiał bezinteresownie szerzyć swój entuzjazm, hipnotyzował nim, zniewalał.

W lata wojny dał nam książkę kojącą „Szlakiem duszy polskiej”. Ile w niej było miłości dla naszej kultury, dla piękna duchowego, spuścizny po wielkich naszych artystach, osądzi sprawiedliwa przyszłość.

Pracował do końca swojego ciężkiego, smutnego życia. Niedawno dziękowaliśmy mu burzą oklasków, gdy na premierze „Mściciela” z desek Teatru Narodowego, mówił:

„nie mnie składacie hołd, lecz staremu, przedwojnemu pięknu.

Uskrzydlała je dusza i poczucie odpowiedzialności moralnej”.

Nie przemówi już do nas więcej jego głos wnikliwy, cichy, zmęczony walką z niedolą życia. Niełatwe bowiem miał istnienie ten rasowy, egotyczny artysta. Śnił mu się już ongiś biały, miękki śnieg, jak koł serce nadmiarem cierpień wypróbowane.

W mroźny, śnieżny poranek w sąsiedztwie niedalekiem od słomianej strzechy, gdzie ujrzał światło dzienne na rodzinnej ziemi, oddał ducha wieczności.

Nie bał się śmierci. Cekał na nią w spokoju. Pisał przecież w smętnej przeczuciu:

„Niech zgasnę, — czempredzej zgasnę, bym mógł tylko w wzmożonej potędze powrócić...”

A wrócę — wrócę!”

* * *

Biały śnieg otulił torfowiska; mróz ściał wody świętego Gopła; wiatr wyszarpał na piaszczystych ugorach kępy sinych liszaj; miotlika wierzb przydrożnych zakotyła się, zachybotaty, przygięły.

Echo chwyciło cichą, tragiczną pieśń: „In hoc lacrimarum vale”.

Biały, miękki śnieg zasnuł ziemię rodzinną kujawską. Czyżby dał świadectwo prawdzie przeczuć twórcy „Nad morzem”? Czyżby potwierdzał jego płomienną wiarę:

„Niech zgasnę, bym tylko mógł w wzmożonej potędze powrócić!”

Eustachy Czekalski

Wspomnienia o Przybyszewskim

W okresie niczem nie zamaconej apoteozy autora „Ogniem i mieczem” nagle na literackim naszym niebie ukazał się kometa o blasku przedziwnym i ściągnął na siebie wszystkie spojrzenia, wielu spokojnych ludzi przeraził, wielu odważnych zdumiał, całą młodzież olśnił. Był to Stanisław Przybyszewski, twórca „Homo sapiens”, niesamowity tłumacz muzyki Chopina, filozof „nagiej duszy”, czarodziej-prozaik, który ze swoim światem poetyckim wypłynął zuchwale na przeciw świata Sienkiewiczowskiego. Spotkanie tych na dwóch słońcach dwóch odmiennych bogów w ówczesnych przestworzach naszego kulturalnego życia wywołało wielką burzę. Słońce Sienkiewiczowskie na chwilę jakby przygasło. Słońce Przybyszewskiego zajaśniało podwójnie mocno pośrodku nowej konstelacji przez siebie wyłonionej. Nazywała się ta konstela-

cja „M ł o d a P o l s k a” i zaświeciły w niej gwiazdy, które szybko miały się powiększać, jak Wyspiański, Kasprowicz, Stanisław Brzozowski, i gwiazdy mniejsze, które, jak np. Żuławski, miały stopniowo blednąć.

Niewielu literatów polskich chodziło za życia w takiej sławie, w jakiej chodził Przybyszewski. Przed dwudziestu pięciu laty rozgłos jego nazwiska zaćmiewał nazwiska wszystkich innych. Ale laur sławy autora „Dla szczęścia” podszyty był kolcami tak gęsto, jak sława żadnego ze sławnych naszych twórców. Uchodził za gorszyciela, plotka zerowała na nim łakomie, panny z mieszczańskich domów nie wymawiały jego nazwiska bez rumieńca, dostojne matrony, królujące samowładnie na czterech pokojach, czytały „W godzinie cudu” pokryjomu, nic nie rozumiejąc, a priori zdemoralizowane. Śmiech

pusty bierze, gdy się dzisiaj pomyśli, że Przybyszewskiego okładano kwarantanną jako pisarza niemoralnego, że jego „De Profundis” nie uzyskało aprobaty cenzury ze względu na rzekomą nieobyčajność tego utworu w gruncie rzeczy zaciekle moralizującego. Później to nieporozumienie samo się jakoś rozpuściło. Wówczas jednak, gdy jako pachole poznałem autora „Na drogach duszy”, patrzyłem nań z wewnętrznym dreszczem i nie bez lekkiej obawy wsłuchiwałem się we wszystko, co mówił. Pewnego razu — za drugiej czy trzeciej mojej wizyty u Przybyszewskiego — odwiedził go bardzo nerwowy, bardzo wielomówny młody człowiek, blady jak papier, z dużą czarną czupryną i z rzadką ciemną bródką, zwisającą w kosmykach. Szybko chodził po pokoju, powiewając długim czarnym surdutom. Opowiedział treść dramatu, który zamierzał pisać. Dość ważną rolę odgrywał w tym dramacie ksiądz. Potem opowiedział założenie drugiego dramatu. I w tym dramacie był ksiądz. Młody człowiek uśmiechnął się, spojrzał nie wiem dlaczego na mnie, i rzekł, jakby się tłumacząc:

— Nie umiem myśleć bez księdza.

Gył to dwudziestoczteroletni Stanisław Brzozowski.

— Co myślisz, Stachu, o tych koncepcjach? — zwrócił się znów do Przybyszewskiego.

— Napisz — odpowiedział Przybyszewski z odrobiną ironji.

— Ten drugi dramat napisałbym, ale razem z tobą. Tutaj potrzeba twojej mocnej ręki.

Przybyszewski wstał z kanapy i oparł się o piec, ponieważ w pokoju było dosyć chłodno.

Brzozowski czekał na odpowiedź. Ale Przybyszewski uparcie milczał, najwidoczniej niezadowolony z propozycji. Miałem wrażenie, że się powstrzymuje od skarcenia tego nieznanego literacika. Brzozowski to odczuł, zażenował się i znów zaczął prędko mówić o bohaterze swojego dramatu, rozwodził się nad trudnością znalezienia motywu do takiego a takiego rozwiązania.

— Bo dlaczegoż ma on właśnie tak postąpić? — gorączkował się Brzozowski, jakgdyby głośno myślał. — Tego w jednym dialogu nie dowiodę! Co? nieprawdaż? A w dramacie wszystko musi być lapidarne i jasne. Każdy człowiek w dramacie...

Wówczas z ust Przybyszewskiego padły słowa, które mnie zdumiały. Nie przypuszczałem (miałem siedemnaście lat), że mogę coś po-

dobnego usłyszeć z ust tego „satanisty”, „dekadenta”, tego postrachu warstwy małomieszczańskiej.

— Każdy człowiek, robaczku, — rzekł Przybyszewski z pod pieca — przynosi z sobą na świat dziesięć-oro bożych przykazań.

Później, gdy dojrzałem, gdy lepiej poznałem istotę twórczości tego fenomenalnego władcy słowa, zrozumiałem, że jego dzieła powstawały w napięciu religijnego uczucia, że w jego duszy odbywają się święte dyonizje, uroczyste, modlitewne obcowanie z boską tajemnicą wszechrzeczy i że z tych właśnie natchnień rodzi się literatura



St. Przybyszewski i W. Grubiński
przed dwudziestu laty

Przybyszewskiego, wstrząsająca, wulkaniczna, czasami naiwna, czasem nawet śmieszna w wyrazie dla ludzi do dna trzeźwych, do dna wykarczowanych ze skłonności mistycznych. W Przybyszewskim zapóźnił się człowiek średniowieczny, nie mogący uwierzyć, że wszystko, co go otacza w wieku XX, to noc a giorno oświetlone w wielkich miastach, te polerowne samochody, ten komfort w mieszkaniach ludzi bogatych, te wygody w pierwszorzędnym hotelach, te wykwintne restauracje, gdzie snuje się milcząca służba poważnie uprzejma, te nieprawdopodobnie jarzące się brylanty za cienką witryną jubilerską, o którą dobroduszenie ocierają się żebracy, ta cicha winda w kamienicy, ten warczący aeroplan między obłokami, te fraki w teatrze, te wydekoltowane suknie na balu, te wymierzone ukłony, te stereotypowe uśmiechy, że to jest nieprawda, że to jest maskarada, że to nie o to chodzi, że w pewnej chwili całe to udawanie spadnie, zleci, i ukaże się

straszny sabat djabłów i czarownic, że się odsłoni grzeszny człowiek, obłąkany ze wstydu, z przerażenia, nie mogący żyć bez grzechu, a za grzech karany przez demony, równie jak człowiek nieszczęśliwy. To też Przybyszewski prawie pogardzał światem. Tak mi się przynajmniej nieraz wydawało w ciągu wieloletniego codziennego mojego z nim obcowania w Warszawie, zaszczycał mnie bowiem swoją przyjaźnią. Na tymczasowość istnienia ludzkiego, pełnego gwałtownych pragnień, rozpaczliwej miłości, trujących upojeń, musiał patrzeć ze śmiechem, z tem złośliwym swoim he, he, którem odpowiadał w swoich dramatach na widok bez nadziei walki człowieczej z losem. Wszyscyśmy zamknięci w naszym doczesnym przeznaczeniu, jak insekty w szklanym pudle, jak raki w worku. Koniec końców czeka nas szpilka przyrodnika, albo patelnia kucharza. Niewarto dokonywać bezgranicznych wzlotów wśród ciasnej przestrzeni, lub deptać nieszczęśliwych współtowarzyszów niedoli. Jedno jest tylko piękne na tym głupim świecie: pieśń o Wielkiej Tajemnicy, która nas otacza, z której wyszliśmy bez naszej woli i która nas pochłonie mimo nasz dziecinny strach. Niech żyje Sztuka! Pozatem jesteśmy śmieszni, naiwni, mali z naszym wielkim rozumem, nieszczęśliwi z naszym ogromnym szczęściem. He, he! Dwa razy dwa jest pięć!

Romantyzm pełnej krwi, lekceważący „mędrca szkiełko i oko”, entuzjazm dla uczucia, sięgającego po za grób. „Leżał rozpostarty na gwiazdach” — mówi Przybyszewski o Chopinie, a bohaterka „Śniegu” opowiada sen o tem, jak ją objęła jej dobra piastunka, która po chwili przeistoczyła się w szkielet, tulący do siebie bezbronną dziewczynkę. Tam na gwiazdach jest niepojęty sens bytu; śmierć — piastunka wyniesie nas z ciemnego pokoju życia na jasne przestworza wiekuistej Prawdy. Świat doczesny jest karykaturą.

I napojony niesmakiem, Przybyszewski zamykał się w wieży z kości słoniowej, gdzie milkło jego szydercze he, he, zamykał się w świątyni zwanej Sztuka dla sztuki i śpiewał pieśń Wielkiej Tajemnicy. „Na kirem pokryte ugory mej duszy spadła biała róża. Czyja ręka anioła ją zwała?”

Dzisiaj, gdy znużone oczy zamknął na czas nieskończony, na jego ubogą trumnę spada nieśmiertelnik.

Wacław Grubiński

Przybyszewski w życiu Krakowa

(Z moich „Wspomnień“)

Jesienią 1898 roku zjechał do Krakowa Stanisław Przybyszewski. Poznałem go w dwa dni po przyjeździe u jednego z moich przyjaciół, którego A. Nowaczyński uwiecznił w swych nowelach jako „Histerycznego histrjona”, a który był niezwykle oryginalnym, lecz pozatem człowiekiem zamożnym i gościnnym. Już owego wieczora otaczało Przybyszewskiego duże grono osób. Chociaż bowiem zaledwie od dwóch dni przebywał w Krakowie i chociaż poprzednio utwory jego mniej były poczytne na naszym partykularzu, niżby przypuszczać można — stał się już w Krakowie „sławnym” człowiekiem.

Kraków był zawsze wielkim miastem prowincjonalnym, nawet wówczas, kiedy przodował w kulturalnym życiu Polski i gdy koncentrował w swych murach najwybitniejsze polskie jednostki z dziedziny nauki, literatury i sztuki. Typowym przejawem tej prowincjonalności była „pantoflowa poczta”; wiadomości, opinie, sady krążyły tutaj z ust do ust, prasa codzienna odgrywała właściwie, jako źródło informacyjne, bardzo nikłą rolę. A dalej musiał Kraków posiadać zawsze jakąś osobistość na świeczniku, jakąś „osobliwość” — nie licząc, oczywiście, lokalnych luminarzy. Dzięki tym właściwościom Krakowa przedewszystkiem, stał się ingres Przybyszewskiego tak rozgłosny wprost z dnia na dzień. Wiadomość o jego przyjeździe rozeszła się niewiadomymi drogami w szerokich kołach, wzbudziła bardzo duże zainteresowanie.

W zainteresowaniu tem grał niewątpliwie mniejszą rolę „*der geniale Pole*”, sam twórca, jako taki; pociągała ciekawość raczej osobliwość, „*das Wundertier*”. W krakowskim „podśmiewaniu towarzyskiem” — jak je złośliwie nazywał Nowaczyński — zakotłowało „paniusie” zadreślały się zawiścią, że Przybyszewski był już gościem w tym czy owym domu, a ich domu nie nawiedził jeszcze. Nagle zbudziło się epidemiczne pragnienie poznania „wielkiego człowieka” i dokuczało tem srożej, ponieważ sługębna fama roznosiła po mieście najdziwniejsze plotki osobistego charakteru o autorze „*Homo sapiens*”, „*Synagogi szatana*”, „*De profundis*”. Personifikowano autora ze wszystkimi jego bohaterami, a nawet z podrzędniejszymi postaciami powieści. Tak Przybyszewski niemal z dnia na dzień stał się „krakowską” sławą.

Szczuplejsze grono inteligencji i młodszej generacji literackiej, śledzące już oddawna rozwój twórczości wielkiego pisarza, powitało jego przybycie do wawelskiego grodu z równie wielkim entuzjazmem, chociaż, oczywiście, wynikającym z innych przyczyn. Wszak Przybyszew-

ski przynosił z sobą żywe to nowe techniczne z Zachodu, które znaliśmy tylko z książki i które w zestawieniu z ówczesną przeciętną polską twórczością wydawało się wprost czemś niebywałem.

Bliższe osobiste poznanie pisarza potęgowało jeszcze entuzjazm i sympatię dla niego. Albowiem ten wielki człowiek był w stosunku do bliźnich bardzo prostym, bardzo szczerym i bardzo serdecznym — wygłaszał nowe artystyczne hasła nie mentorskim, imperatywnym tonem, lecz głosem cichym, spokojnym, przyjacielskim, kiedy niekiedy tylko nieco podnieconym w toku bardziej zacieklej dyskusji — nie narzucał nikomu swoich przekonań, cierpliwie wysłuchiwał cudzej opinii, choćby nawet żywcem nadającej się do wydrwienia, naprowadzał pośrednimi drogami rozmówcę na to, o czem chciał go przekonać.

Tylko tym czarem wewnętrznym, jaki w ogromnej mierze posiadał, tylko tym ujmującym sposobem postępowania można wytłomaczyć, że zdołał skupić około siebie duże grono ludzi, nietylko wielbiących (czasami i bezkrytycznie) jego talent, ale nieraz bardzo się wzajemnie różniących i upodobaniami i przekonaniami i uzdolnieniem. Do grona tych stałych towarzyszy należeli i profesorowie Akademii sztuk pięknych i profesorowie uniwersytetu i literaci i malarze i dziennikarze i ludzie w bardzo luźnym związku z jakąkolwiek sztuką pozostający. A jednak osobistość Przybyszewskiego zespalała ich w jedno bractwo duchowe.

Grono było niezbyt liczne, ale na ogół dobrane. Zbierało się bądź w mieszkaniu Przybyszewskiego przy ul. Siemiradzkiego, bądź z liczniejszym udziałem uczestników w t. zw. „Paonie”, zarezerwowanym gabinecie w restauracji głośnego „Turla”, naprzeciwko teatru im. Słowackiego. Rozmowa toczyła się na wszelkie tematy, nieraz przybierała formę namiętnych dyskusji, zwłaszcza gdy pełen temperamentu malarz Jan Stanisławski przeciwiał się komuś. To znowu Przybyszewski siadał do fortepianu i grał swego umiłowanego Chopina lub upiorną Schumannowską sonatę, na temacie której osnuł legendę o zamordowaniu dziecka. Słuchający milczeli wówczas, poddawali się bezspornie nastrojowi, który potęgowało użycie, a nieraz i nadużycie alkoholu w formie bardziej lub mniej skoncentrowanej.

Raz po raz zjawiali się w tem codziennym gronie goście z Warszawy, bawiący przejazdem w Krakowie literaci i dziennikarze, to znów przybywał ktoś z szerokiego świata. Nie zapomnę nigdy zjawienia się w mieszkaniu przy ul. Siemiradzkiego głośnego malarza Słewińskiego,

Wszedł do wnętrza w groźnej burce baraniej, z grubym sękaczem w dłoni; sprawił wrażenie raczej średniowiecznego rozbójnika, niż artysty. W pierwszej chwili nawet sam Przybyszewski nie poznał przybysza. Bywał tu gościem i profesor Wincenty Lutosławski, skarżący się wiecznie, że musi oddychać dymem tytoniowym, wydzielanym przez innych, na co otrzymał kiedyś dowcipną odpowiedź od pani Dagny Przybyszewskiej, że i jej nie jest miło oddychać wydychanym przez niego powietrzem. Często siadywał tu na uboczu Stanisław Wyspiański, obserwując, jak zwykle w milczeniu, rzadko tylko wtrącając się do rozmowy przenikliwym głosikiem, w którym brzmiało zawsze jakby utajone szyderstwo. Zdarzały się i głośnie, tętniące wesołością zabawy, kiedy młody medyk p. Sz. wycinał na skrzypcach skoczne mazurki i obertasy, lub gdy profesor geologii dr. Grz. i znany artysta p. Józef Kotarbiński sekowali się przez parę godzin dowcipnie improwizowanymi przyśpiewkami na nutę ludowej piosenki o słońcu i pogodzie.

Naogół tak się jakś składało, że na zebrania tego cygańsko - intelektualnego bractwa, prócz zwykłych uczestników rzadko tylko dostawały się postronne osoby z poza kół artystycznych. Trudno się dziwić, że w tych warunkach ciekawość ogółu była podrażniona dociekaniem, co się dzieje na tych „tajemniczych” obrzędach. I, oczywiście, wnet ta „paniusia” opowiadała tamtej „paniusi” najdziwniejsze historie, a plotka, która raz zakiełkowała, znajdowała podatny i żyzny grunt do dalszego rozrostu. Kiedy zaś taką samą „pantoflową pocztą” przedostawała się na grunt warszawski, wyrastała tam w potworne wprost kształty.

Pamiętam, jak zaśmiewaliśmy się kiedyś z Przybyszewskim, czytając w jednym z codziennych pism warszawskich feljton, który ogłosił znany literat i krytyk p. S. Przedstawił on niewinne wieczory w „Paonie” jako sataniczne obrzędy, jako jakąś „czarną mszę”, budząc, niewątpliwie wśród czytelników grozę i oburzenie, że świątobliwy Kraków toleruje takie zgorszenie i bezecność.

Było to zabawne, ale i smutne ponieważ. Jeżeli bowiem dołączymy do tych „autentycznych” relacji podstępne oceny utworów Przybyszewskiego, pojawiające się tu i ówdzie w prasie, a przedstawiające fałszywie — nierazko skutkiem niezrozumienia — teorię „nagiej duszy”, czyż możemy się dziwić, że w pewnych kołach mało uświadomionych filozoficznie i estetycznie czytelników urobiono biednemu Przybyszewskiemu na długie lata opinię demoralizatora i apostoła Szatana?! Najniesłuszniej, gdyż „Paoniskie” wieczory były zwykłymi biesiadami cyganerii, tem cnotliwszemi, że zazwyczaj bez udziału kobiet, tak jak z drugiej strony każdy, kto naprawdę umiał i chciał



*Fragment apoteozy siedmiu tajemnic boskich
przez królów*



*Scena przedstawiająca, jak Mojżesz nasyła plagę węzową
na żydów za cześć okazywaną węzowi miedzianemu*

czytać, doszukiwał się w dziełach Przybyszewskiego zgoła czegoś innego, głębszego, niż erotyzm, ruja i porubstwo.

Plotki budziły niezdrową sensację. One jednak podtrzymywały tę „popularność” Przybyszewskiego w Krakowie, jakiej bynajmniej nie pragnął. One, niewątpliwie, przyczyniały się do tego, że publiczne wystąpienia Przybyszewskiego, dość zresztą rzadkie, gromadziły tłumy słuchaczy, wśród których było zawsze dużo młodzieży. Ci poszukiwacze sensacji wychodzili zapewne z odczytów rozgoryczeni i zawiedzeni w oczekiwaniach, ale nie przeszkadzało to dalszemu trwaniu opinii, że Przybyszewski jest demoralizatorem młodzieży.

Cios popularności Przybyszewskiego w społeczności Krakowa zadało dopiero ogłoszone przezeń „Confiteor”. Pseudointeligent, odgrywający rolę znawcy sztuki, nie mógł znieść, że otwarcie i bez ogródek nazwano go „mydlarzem”. Pojawiły się na łamach pism zjadliwe repliki mydlarskie, odbyły się zebrania dyskusyjne, na których, jak np. w Kole Artystyczno-literackim, ciskano na pisarza i na jego wyznaczenie wiary najsroższe gromy potępień.

Tymczasem jednak w życiu prywatnym Przybyszewskiego zaszły nieprzewidziane wydarzenia. Równocześnie tygodnik „Życie”, będący jego organem, a podtrzymywany wysiłkiem dwóch bezinteresownych entuzjastów, zachwiał się ostatecznie w materialnych podstawach i przestał wychodzić. Los powiązał Przybyszewskiego z Krakowem najsmutniejszymi wspomnieniami. Po krótkim pobycie w Berlinie nie chciał już powracać do Krakowa, przeniósł się do Warszawy, gdzie właśnie Miriam stworzył „Chimerę”.

Pozostawił w Krakowie garść zawsze życzliwych mu ludzi, bo tych, którzy naprawdę hojnie czerpali ze skarbnicy jego umysłu i uczucia. A z jego wyjazdem życie w Krakowie dla nas młodych stało się bardziej szare.

Stanisław Sierosławski

Przybyszewski w Monachjum

Był to może najszcześniejszy okres w życiu Przybyszewskiego. Teatry rosyjskie grały jego sztuki, co dawało mu niezły dochód. Występy Komisarzewskiej przynosiły specjalne tantiemy. Powieści jego były tłumaczone natychmiast na język rosyjski. Oryginały ukazywały się na półkach księgarskich w wydaniach „Gebethnera i Wolffa”; cykle „Mocny Człowiek”, i „Dzieci Nędzy” przez tę firmę dostały się do rąk polskiego czytelnika. Z punktu widzenia interesów materialnych Przybyszewskiego, wydania te były dla niego korzystne. Ileż książek jego wzięli za darmo lub za półdarmo wydawcy! Był popularny, modny, rozchwytywany, a nie mógł skromnych swoich wydatków pokryć z zarobków literackich. Urządzano więc na jego dochód audycje muzyczne, odczyty. Grał na takich wieczorach ulubionego Szopena, odczytywał nowe utwory, wygłaszał o innych pisarzach płomienne dytyramby.

W Monachjum wielkiego dostatku nie było, ale zawsze mógł Przybyszewski żyć z żoną spokojnie. Mieszkali na Schwabingu. Skromne trzypokojowe mieszkanie na parterze dużej, wielkomiejskiej kamienicy urządzone było schludnie, zaciśnie. Obrazy polskich malarzy, kilimy, kilka rzeźb zdobiły wnętrze ich miłego mieszkania.

Przybyszewski miał kilku przyjaciół Niemców, którzy go niekiedy odwiedzali (dr. Ludwig). Młodzież akademicka garnęła się do niego. Niemal rezydentem w domu p.p. Przybyszewskich był gośny poeta kroacki Josif Kosor. Kilka razy tygodniowo odwiedzał twórcę „Synagogi Szatana” młody hr. Krasieński. Stale towarzyszył red. Wł. Zabawski.

Niezapomniane wieczory spędzało się wtedy w gościnie u p.p. Przybyszewskich. Nie było myśli, idei, faktu naukowego, odkrycia, któreby nie znalazły w żywej wyobraźni autora „Dla szczęścia” reakcji. Interesowały go nauki przyrodnicze, astronomia, matematyka, jak „Listy zakonchanej zakonnicy Marji d'Alcoforado”, które czytał wzruszony.

Rewolucja na ziemiach polskich b. Kongresówki absorbowala go również: stał po stronie walczących. Wystarczyło mu, że walczyli, by oświadczyć się za nimi. Przeżywał wtedy ostry kryzys ideologiczny: burzył w sobie koncepcję sztuki

dla sztuki. Ślady tej walki wewnętrznej znaleźć można w „Mocnym Człowieku” i „Dzieciach Nędzy”. Wczytywał się w Mickiewicza.

Ranki często przesiadywał w bibliotece publicznej, po obiedzie chodził do Stephanie-kaffé. W kawiarni przy czarnej, herbatce, papierosie wywracano na nice wszystkie wielkości świata. Gdy przypadkiem w towarzystwie Przybyszewskiego znalazł się jakiś inteligentny młodzieniec, udający erudyte — zaśmiewaliśmy się z niespodzianek, z żartów. Przybyszewski potulnie słuchał wywodów o d'Annunziu, refrenowo powtarzając:

— Czyż być może? — Czyż być może?

Młodzieniec się zapalał w wywodach. Przybyszewski chytrze oponował:

— Czy się pan nie myli? O takim poecie, jako żywo, nie słyszałem...

— To ja panu przyniosę dzieła d'Annunzia....

— Dziękuję bardzo... Stracony czas... Nie lubię frazeologów, koturnowych komediantów, ultra - kabotynów...

Młodzieniec wybałuszał oczy ze zdziwienia, a towarzystwo przy stoliku kawiarnianym rżało z żartów Przybyszewskiego.

Zapalał się w dyskusjach na tematy astronomiczne. Lubił ścisłą wiedzę sprowadzać do teorii wiotkich, jak wszystkie ludzkie sądy. Umiał na pamięć wiele formuł matematycznych. Operował nimi bardzo zręcznie, miażdżąc studentów astronomii, matematyki.

Niekiedy u p.p. Przybyszewskich odbywały się liczniejsze przyjęcia. Pewnego wieczoru przyszedł Kosor, objuczony młodem winem. Piliśmy za zdrowie wszystkich żyjących i umarłych poetów, wodzów, bohaterów. Minęła noc i dzień, następny wieczór ucztą nie ustawała. P. Jadwiga była nieobecna w domu. Bawiła u córki w Zakopanem. Po libacji tej mieszkanie było, jak pobożowisko... Uczestnicy spali po kątach.

Przybyszewski przetrzymał wszystkich. Miał żelazny organizm. I pod tym względem był jednostką niezwykłą.

E. C.

PLAN WOBEC ROSJI

II

Było to w czerwcu tego roku, o 4-ej rano, na bulwarze Capucines, przed Grand Hotel'em. Nie świtało jeszcze i bulwar jeszcze w pełni nie zamarł: na spiętrzonem pobojuwisku tarasu „Café de la Paix”, wśród stert fikających, do góry nogami, krzesełek i wywróconych, na znak noclegu, stolików, wałęsały się jeszcze jakieś cienie, przycupnęły, jak na kamieniach przydrożnych, „hrabiny”, w letnich futrach, nawołujące zmęczonym szepem, beznadziejnie, dla zasady:

— Tu payes un „glass” beau blond?...

gdyż jest to jedna z konsekwencji wielkiej wojny, że w języku trotuarowym kieliszek się nazywa „glassem”. Glass ten można było za stosowną przepłatą otrzymać jeszcze naprzeciwno, gdzie bar *The Hole in the Wall* świecił się, jak wąska rysa w murze; bar o osiemdziesięciu centymetrach fasady (zrozumiała oszczędność, gdyż w tym punkcie, pępkiem świata zwanym, komorne płaci się od bieżącego ...centymetra) i kiskujący następnie dalej w jakichś piwnicznych zakamarkach....

Ale nie to jest ważne. Ważnym natomiast i doniosłym, zdolnym zastrygować przenikliwego detektywa był fakt, że niżej podpisany przechadzał się o tej godzinie w kołnierzyku niezmiętym, świeżo ogolony, pachnący jeszcze mydłem i wodą kolońską. W każdym razie barman, który przecież widział wiele rzeczy w życiu, poczuł się zgola zaalarmowany, gdy na zapytanie: „White Horse? Black and White? Half an half?... Manhattan?” odpowiedział mu obcesowo: kawa biała, bułki, masło!...

— Widzi pan, wyjaśniłem mu następnie, po raz pierwszy, bodaj że, czwarta rano nie jest dla mnie końcem ale początkiem. Ten świat o ponocnem zadymieniu przedstawia mi się zgola inaczej, gdyż dopiero co wstałem, nastawiwszy budzik na trzecią rano...

— Nastawił pan budzik? — zdziwił się gentleman w białym smokingu — Czyż dzieją się rzeczy niezwykle?...

— Mocno podejrzewam, że tak. W każdym razie muszę to wybać...

W półgodziny później siedziałem w autobusie „Cidny”, który, o tej niesamowitej porze, poławia napowietrznych podróżnych przed

Grand Hotel'em. O szóstej nastąpił odlot z Bourget, via Strassburg, Norymbergja, Praga, do Warszawy... Tego samego dnia, zjadłszy śniadanie na bulwarze des Capucines, przechadzałem się, w końcu słonecznego popołudnia, po Krakowskim Przedmieściu.

Zdecydowałem się na tę raptowną wycieczkę w przeddzień, wskutek długiej telefonicznej rozmowy z Londynem. Informacje, dość jeszcze mętne coprawda, które otrzymałem tą drogą, bardzo mnie zaniepokoiły, choćby dlatego, że paczyły one zgola rezultat mych kilkomiesięcznych obserwacji i wywiadów politycznych. Wiadomości te streszczały się tak mniej więcej: Warszawa staje się kluczem angielskiej akcji anty - sowieckiej; wobec odpornego stanowiska rządu marszałka Piłsudskiego, angielski „intelligence corps” postawił sobie za zadanie zaostrenie stosunków polsko - sowieckich aż do wywołania konfliktu zbrojnego, którego rezultatem będzie rozczłonkowanie Rosji i podzielenie jej na strefy wpływów; zabójstwo Wojkowa nie jest przypadkiem, lecz początkiem tej, waśń siejącej, akcji prowokacyjnej; zresztą Warszawa roi się od oficerów z „intelligence corps”, którzy pod różnemi pretekstami (zjazdy lekarzy wojskowych, wilyta w Gdyni) działają sprawnie i pchnęli Kowerdę do, owocnego politycznie, zabójstwa.

Szybując nad Francją, nad Bawarią, nad Czechami, Śląskiem i Polską, rozmyślałem z pewnem utrapieniem nad temi insynuacjami, tembardziej, że, jak już zaznaczyłem, były one w zupełnej sprzeczności z tem wszystkiem, com mozolnie wysledził w Londynie i w Genewie. Zwłaszcza podczas majowej konferencji gospodarczej nabrałem przekonania, że rząd Wielkiej Brytanji zgola nie ma na myśli akcji zbrojnej przeciwko Związkowi rad i że jego plan opiera się na zupełnie innych podstawach.

Tymczasem z Moskwy, wszelkimi drogami, szyfrem dyplomatycznym i kablem dziennikarskim nadchodziły wieści paniczne. Panowie komisarze wyrażali, dziesięć razy na dzień, przekonanie, że Anglja wypowie im wojnę i to oczywiście przy kontynentalnej pomocy Polski. Po wspomnianej telefonicznej rozmowie z Londynem zacząłem się poważnie obawiać, że ta rozbieżność poglądów na sytuację

wypływa z bezsprzecznej rozbieżności władzy wykonawczej w państwie brytyjskiem. Niejednokrotnie, bowiem, miałem sposobność stwierdzić, że gdy Foreign Office opowiadał się za jedną polityką, oficerowie z „intelligence corps” działali na własną rękę, w zgola innym kierunku. Widziałem to w Syrii. Istniało wtedy jak najdalej idące porozumienie między panem Arystydesem Briandem i Sirem Austenem Chamberlainem, a jednak, myszując po zrewoltowanym Dżebel Druzów, natrafiłem na decydujące dowody, że przywódca wojujących z Francją szczepów, Soltan el Attrache, zaopatruje się w broń i w złoto w Transjordanji u angielskich oficerów. Dlaczego?...

Dlatego, że korpus angielskich wywiadowców przedstawia siłę samoistną, finansowo potężną, po masońsku zakonspirowaną i stara się przevorsować własną politykę wszechangielską. W Syrii, na przykład, drwi on z Briando-Chamberlain'owskiej całowaniny i pracuje uparcie nad zjednoczeniem wszystkich ludów arabskich w Azji pod berłem angielskiem. Narazie mu się to nie udało, ale w iluż innych momentach, na ważkich zwrotnicach światowych (widziałem to na własne oczy) korpus wywiadowców zwyciężył wbrew własnemu rządowi. W Egipcie zmienił króla, nad Bałtykiem stworzył Litwę i wreszcie, tryumf najkapitałniejszy, w Rosji obalił carat!...

Lloyd George wszak był temu przeciwny. Nie chciał on przeciągać wojny o kilka miesięcy, może o rok cały. Korpus wywiadowców jednak, będąc przekonany w początkach roku 1917-ego, że wobec współdziałania Ameryki wojna i tak będzie napewno wygrana, miał przedewszystkiem na myśli pozbycie się niewygodnego współnika i uniknięcie, w ten sposób, przy ogólnym rozrachunku, wygórowanej zapłaty, w postaci przyrzeczonych carskiemu sojuszniczemu rządowi cięśnin czarnomorskich.

Jakżeż prawdopodobnem być mogło zatem, że, wobec odrodzonej zaczepności bolszewickiej na wschodzie, „intelligence corps” wznowił, via Warszawa, swą tradycyjną wojnę anty - rosyjską?... To właśnie pragnąłem wybać o sobiście na warszawskim bruku.

Rozparłbym ramy tego artykułu, wchodząc w szczegóły. Powiem więc krótko, że przedewszystkiem, po dwutygodniowych badaniach, doszedłem do wniosku, że Kowerda działał zgola samoistnie. Następnie, nabrałem przekonania, że je-

żeli korpus wywiadowców nosił się istotnie w Warszawie z planami antypokojowymi, zwróconemi przeciwko zamiarom własnego rządu, to te plany przepadły już w zarodku. Przyczyniło się oczywiście ku temu przeświadczenie, że rząd polski nie da się zmanewrować i nawet nie ulegnie ponęcie odwiecznej ekspansji swych wpływów na wschodzie. Zresztą moment ku temu był najnieodpowiedniejszy i angielscy obserwatorzy stwierdzili łącznie, że punktem ciężkości polityki polskiej była skarbowość, to jest przygotowanie, napotykającej wówczas jeszcze spore trudności pożyczki stabilizacyjnej.

Słowem, dziś już, po pięciu zaledwie miesiącach, można spojrzeć na te, jeszcze zgola zakulisowe, wypadki okiem historyka i stwierdzić, że trzeźwość polityki polskiej uratowała Europę, w roku pańskim 1927-ym, od tej groźnej niewiadomej, jaką jest awantura wojenna.

W początkach lipca wróciłem do Paryża i zastałem już atmosferę oczyszczoną od wojennych miazmatów, rozpuszczonych przez angielskich konspiracyjnych zwolenników antyrosyjskiej zbrojnej wyprawy. Na terenie pozostał tylko plan rządowy, plan Foreign Office'u i admiralicji. On to dzisiaj jest stosowany i rozwija się konsekwentnie.

Kto go wynalazł?... Powiem wam prawdę dość paradoksalną: podsunęli go sami bolszewicy. To towarzysze Sokolnikow i Osinskij, delegaci Z. S. S. R. na konferencję gospodarczą w Genewie, w maju tego roku, uwili z rozbijającą naiwnością arkan, który obecnie Wielka Brytania zaciąga na szyi moskiewskiego komunizmu. Po odłubaniu, bowiem, zdawkowej frazeologii, przemówienia panów czerwonych delegatów na majowej konferencji streścić się mogą w tem rozpaczliwym zeznaniu:

— Pieniądzy, na Boga! Pieniądzy jaknajprędzej! Bez pieniędzy nie jesteśmy w stanie podtrzymać naszego deficytowego przemysłu. Bez pieniędzy staną nasze fabryki, bez fabryk nie będziemy mieli robotników, a bez robotników nie możemy mieć sowietów robotniczych i cały nasz ustrój, w szybkim tempie, djabli wezmą!

Wezwanie to, jak mówią Francuzi, „nie wpadło w ucho głuche”. Nazajutrz policja angielska wtargnęła do lokalu sowieckiej misji handlowej i jednocześnie rozpoczęła się na całym świecie akcja, zmierzająca do zamknięcia przed nosem sowietów wszystkich „kranów” kredytu. Traty sowieckie

przestano dyskontować w Londynie, w Nowym Jorku, w Amsterdamie, w Paryżu. By otrzymać gotówkę za bolszewicki weksel, trzeba było wędrować do zgola już „parszywych” banczków, pobierających lichwiarską prowizję. Jednocześnie banki angielskie i „Royal Dutsh” z sirem Henrykiem Deterdingiem na czele, zaczęły wywierać nacisk w Paryżu, by nie dopuścić do międzypaństwowego franko - sowieckiego porozumienia w sprawie długów przedwojennych i do zaciągnięcia, na tej podstawie, nowych pożyczek. Nacisk ten zresztą był zgola niepotrzebny, gdyż Francuzi nie byli na tyle naiwni, by się zgodzić na kombinację, przypominającą owe: „pożycz mi pan sto łotych, a oddam panu dwadzieścia z zeszłorocznego długu”.

Zresztą w tymże czasie p. ambasador Rakowski tak się skompromitował, że po dwóch tygodniach kampanii prasowej zmuszony został do spakowania swych kufrów. Równało to się przecięciu wszelkich mostów pieniężnych między Francją a Sowietami.

Zdawać się mogło zatem, że Anglja dopięła swego, że finansowe oblężenie Związku Rad zostało dokonane i że można było spokojnie czekać na śmierć osaczonego, wskutek kredytowego zagłodzenia.

Snać jednakowoż coś jeszcze szwankowało w tym systemie, gdyż mijały tygodnie i nic jakoś

GENERAL WŁOSKI, KTÓRY PISZE O SZTUCE W POLSCE



General Umberto Franchino, autor wydanej przez towarzystwo Cenobio w Medjolanie monumentalnej książki p. t. „L'Arte in Polonia” (Sztuka w Polsce), towarzyszy J. Kr. Wysokości, następcy tronu włoskiego, księciu Humbertowi w ostatniej jego podróży po Piemoncie. (1) Książę Humbert, (2) General Franchino

nie było słyhać o osławionym „początku końca” komunizmu. Rząd sowiecki wciąż widocznie miał pieniądze na wspomaganie swej kosztownej wytwórczości przemysłowej. Zaczęto szukać tego złotodajnego źródła i znaleziono je — w Berlinie!...

Wyszło szybko na jaw, że Niemcy w ciągu ostatniego roku przemyciły do Rosji 300 milionów dolarów amerykańskich.

W tem miejscu rozpoczęła się akcja, przypominająca t. zw. „extension” blokady podczas wielkiej wojny. Wtedy to nie można było np. zabronić Szwecji zaopatrzenia Niemiec w towary, ale, dla zakorkowania tej luki w blokadzie, zastosowano ją również wobec Szwecji, która wskutek tego znalazła się w ostatnich dwóch latach wojny w tak wyjątkowo ciężkich warunkach aprowizacyjnych.

I otóż widzimy dzisiaj, że Anglja, wpływając w tym kierunku na rynek finansowy Nowo Jorski (a są na to sposoby), rozciąga obecnie blokadę kredytową i na Niemcy, które oskarża o pieniężne przemytnictwo na rzecz sowietów. Tem to należy tłumaczyć ostatnie wystąpienie amerykańskiego kontrolera Gilbert Parkera w Berlinie, które równa się, w praktyce, zatrzaśnięciu przed niemieckimi pośrednikami pękaty kas zaoceanowych.

Zachodzi teraz pytanie: co z tego wyniknie? Co będzie z Rosją, tak szczerze obecnie obleżoną pod względem finansowym?... Czy zamknięcie nie opartych na zdrowej zasadzie samowystarczalności fabryk sowieckich pociągnie za sobą istotnie zmierzch komunizmu?...

Tego oczywiście spodziewa się Anglja. Ale od biedy, kwitując z politycznych konsekwencji, zadowolni się ona metamorfozą Rosji na wielkie wiejskie gospodarstwo, wychodząc z zasady, że przemysł rosyjski jest deficytowym luksusowym absurdem. Rosja, w pojęciu polityków angielskich, powinna być tylko rynkiem, targowiskiem, na którym przynęta tańszych, lepszych, dostępnych towarów zagranicznych wzmoże produkcję rolną rynkiem i światową rezerwą surowców. Wtedy pono, gdy Rosja zamieni się w rozległą „wieś spokojną”, kupującą angielskie towary, ma być wszystkim lepiej na świecie. Nad Wołgą łatwiej będzie o pług i bawełnianą kieckę, nad Tamizą zniknie bezrobocie i stanieje niedzielna bułka z rodzynkami. Taki jest plan, takie są marzenia John Bulla.

Henryk Korab - Kucharski
Paryż, w listopadzie.

Narodziny „Ziemi Obiecanej“

Interesujące wspomnienia, zawarte w listach, a dotyczące powstania świetnej powieści Wł. St. Reymonta p. t. „Ziemia Obiecana“, udało nam się otrzymać od p. M. Łaganowskiej, znanej dziennikarki. Niewątpliwie wzbudzą one zaciekawienie.

Łódź była ziemią obiecaną od lat wielu nie tylko dla przyjeżdżających do Łodzi z taczkami, a wyjeżdżających z niej niemal własną lokomotywą konkwistadorów przemysłu — ale i dla wielu pisarzy polskich. Niewszyscy jednak umieli się uporać z tem mrowiskiem ludzkim, żyjącem tęgą pracą, karmionem jedynem ideałem i celem życia — Miljonem. Tworzono na ten temat wiele nowel, pisał powieść łódzką zmarły Julian Łętowski, pisał nieżyjący Kosiakiewicz „Bawełnę“ — przechodziło wszystko bez wrażenia.

Aż pewnego dnia, jesienią roku 1895, stanął w jednej z największych fabryk łódzkich za warsztatem w roboczej bluzie młody, szczupły, średniego wzrostu z dużą płową grzywą, o niezwykle bystrem spojrzeniu robotnik, którego nikt nie znał, ale też i nikt pracy jego nie pilnował. Za tym warsztatem, stając rano do pracy, jedząc czarny chleb z towarzyszami, przeżył sześć tygodni pierwszego poczęcia „Ziemi Obiecanej“ — Władysław Reymont. Praca ta pobudzała jego niezwykle żywiołową naturę; z nieznanem środowiskiem, które interesowało go bez miary — żył się szybko, odczuł je i zrozumiał.

Z pełną głową wrażeń i teką notatek, żegnany z żalem przez grono przyjaciół łódzkich, pojechał do Paryża (w Warszawie pracować nie mógł), aby w małej miejscowości nieopodal stolicy, w Ouarville, tworzyć swą epopeję.

Łódź stała wówczas u zenitu rozwoju; roilo się w niej od bawełnianych królów, królików, książątek, baronów i hrabiów, niedostępnych i nietykalnych.

Pierwsze feljetony, drukowane w ówczesnym „Kurjerze codziennym“, wychodzącym pod redakcją Tadeusza Czapelskiego, spełniły od razu rolę kija w mrowisku. Zawrzało we wszystkich sferach, zaroiło się od domysłów i wymysłów, wskazywano palcami bohaterów powieści, spierano się; pomawiano grono przyjaciół łódzkich o udział w tych „paszkwilach“. Każdy widział siebie, każdy czuł się dotknięty.

Jak się na te insynuacje zapatrywał autor; jak się rodził ów e-

pos przemysłu, o chłódzie i głodzie, nierzadko w gorączce i chorobie?

W styczniu 1897 roku Reymont pisze do swoich przyjaciół łódzkich:

„Bardzo jestem ciekawy wrażenia, jakie robi moja „Ziemia Obiecana“ w Łodzi, jeśli notabene robi; wieści o tem będą dla mnie cenną wskazówką przy pisaniu dalszego ciągu. Mam ją już całą gotową, ale przepisuję i kawałkami posyłam, a przepisując, zmieniam niesłychanie wiele, uzupełniam, oblekam właściwie szkielet w skórę i ciało“...



Wł. St. Reymont

Wkrótce, w lutym, otrzymawszy od nas odpowiedź, dziękował za nią:

„Proszę mi wierzyć, że nawet zupełne potępienie tej pracy i odsądzenie jej od wszelkiej wartości nie potrafi wytrącić mi pióra z ręki. Robię tak, jak w danej chwili robić mogę, krytyka ani poprawi, ani pogorszy. Rozumiem i spodziewałem się sam naprzód najrozmaitszych zarzutów, a w szczególności spodziewałem się wytykania nieznanomości stosunków, jakby celem moim było przedstawianie tych łódzkich specjalnie stosunków, nie ich duszy, bo, gdybym wreszcie poznał owe stosunki i napisał taki protokół życia łódzkiego, najwierniejszy — wtedy by dopiero powiedziano: Pereat, to paszkwil! Moim zamiarem nie mogła być i nie jest zupełnie chęć kopjowania tamtejszego życia i ludzi, bo nie w tem leży zadanie i cel powieści. Ja używam tylko fabryki, ludzi, spraw, tonu, jaki się tam przewija

przez życie — jako materiału, jako pewnego rodzaju odrębnej gliny, z której lepiej swój świat, swoje kreacje, swoją Łódź“.

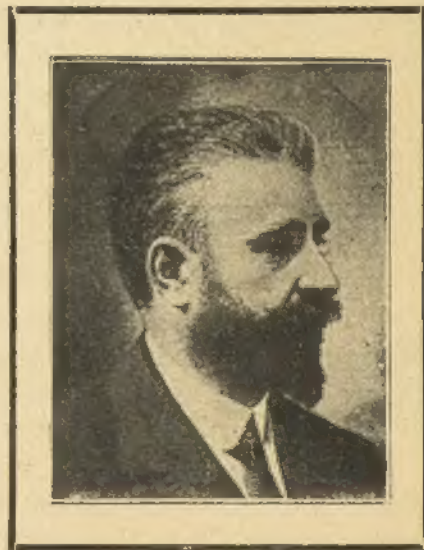
W marcu tegoż 1897 roku otrzymujemy wieści:

„Jestem zavalony robotą i robię ostatnią rewizję „Fermentów“, no i piszę „Ziemie“. Jej skończenie zaczyna być i dla mnie prawdziwą ziemią obiecaną; niestety bardzo daleko do tego. A truje mnie ona niemało z różnych przyczyn: raz, że cenzura już mi kilkakrotnie obśmelała niektóre sceny i zaczyna troskliwie ją czytać, a powtóre te rozmaite przykrości, jakie znoszę z jej powodu. Napisał ktoś do mnie z Łodzi list bezimienny, potężnie i niezbyt słodko mi wymyślający za Buchholtza i Szaję Mendelsona. Schowałem ów list do archiwów drogich pamiątek. Potem Redakcja mi pisze, że i do nich zwracały się pewne, bardzo niezadowolone łódzkie sfery, które uważają tę powieść dla siebie za szkodliwą. Cóż ja tym panom poradzę! Inaczej, aby im się podobało specalnie, pisać nie będę... Dzisiaj znowu m. Redakcja pisze, że się irytują za zbytne portretowanie niektórych osobistości. Tu już osłupiałem. Ja portretuję! ja daję portrety! Nie rozumiem nic. Uwierzyć mi, gdy powiem z zupełną otwartością, że świadomie nie daję tam ani jednego portretu osób mi znanych, ani jednego! Mogą być pewne życiowe szczegóły prawdziwe i takie są, a w drugiej części będą obficie nawet, ale żywego ludzkiego profilu nie narysowałem ani jednego z modeli mi znanych...“

M. Łag.

(Dok. nast.)

ZGON ZNANEGO POLITYKA RUMUŃSKIEGO



Joan Bratianu, prezes ministrów rumuńskich, znany polityk i działacz społeczny, zmarł w 63 roku życia w Bukareszcie. Zgon jego wśród sfer politycznych w Polsce wywołał głęboki żal. Ś. p. Bratianu był wiernym rzecznikiem sojuszu polsko-rumuńskiego.

TADEUSZ PRUSZKOWSKI

(a raczej: o tęsknocie za nowem malarstwem).

Może to nie sam tylko przypadek sprawił, że Związek Zawodowy Polskich Artystów Malarzy inaugurował swój nowy lokal (przy Nowym Świecie 19) zbiorową wystawą prac Tadeusza Pruszkowskiego, profesora warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

Może tak zadecydowało rozmyślenie *Fatum*, ażebyśmy przy pewnej dozie sprytu czy dobrej woli z naszej strony mogli w tym fakcie dopatrywać się znamienego prognostyku: pierwszym wystawiającym swe dzieła artystą jest T. Pruszkowski, malarz z krwi i kości; nie pedant żaden ni teoretyzujący, beznadziejny poszukiwacz nowej formy, nie zimny kaligraf lub suchy doktryner, nie goniący za chwilową modą jakiś ...ista, który z wielkim nakładem pracy i całkowicie beznamietnej cierpliwości, w myśl ścisłych zasad odpowiedniego ...izmu „konstruuje” swe malowidła — lecz właśnie malarz w pełnem i istotnem tego słowa znaczeniu, malarz dawnego raczej autoramentu.

Czyż nie oznacza to dobrego wróżebnego znaku, że nowy lokal artystyczny, którego tak bardzo potrzebowała Warszawa, służyć będzie przede wszystkim malarzom prawdziwym, malarzom tego typu, którzy wierzą w słowa J. B. Chardin'a, iż: „artysta posługuje się farbami, ale maluje sentymentem, pasją”....?

A może to istotnie prognostyk, że po dłuższym okresie dekadencji szczerego malarskiego temperamentu, po długim mroku mozolnych abstrakcyjnych rozważań i daremnych pryncypjalnych sporów oraz geo - stereo - czy też plani - metrycznych eksperymentów, po tych wszystkich mechano - konstruktywistycznych zboczeniach zajaśnieje ponownie świat nowego malarstwa? Że znów, jak ongi przed stu właśnie laty we Francji, wystąpi na artystyczną widownię nowy jakiś Eugenjusz Delacroix, który śmiałymi pociągnięciami pędzla przekreśli wszelkie kanony skostniałych akademickich czy klasycystycznych zasad i pchnie całą sztukę malarską na nowe tory?

Obym był — prawdziwym prorokiem!

Jak zasady i problemy poetyckiej metryki i prozodji nie wyczerpują wcale istoty *poezji*, tak najbardziej nawet szczęśliwe rozwią-

zania zagadnień jedno - czy też wiele - płaszczyznowej kompozycji nie stanowią jeszcze malarstwa. Jeżeli się nawet nie ma nic od siebie w sztuce do powiedzenia, żadnej własnej wewnętrznej treści, która szuka wyrazu i uplastycznienia w barwie i kształcie, trzeba mieć bodaj specyficzne *malarskie* na świat spojrzenie, na to, ażeby być rzeczywiście malarzem.

Mózg ludzki odnosi coraz to nowe tryumfy zwłaszcza w dziedzinie techniki. Wyobraźnia jednak i serce daremnie proszą się o szczer-



Zuz. Tadeusza Pruszkowskiego

impulsywny wyraz, o krztę fantazji i poezji, bez których wszelkie uczucie zanika, bez których serce człowieka schnie i jełczeje razem.

I doprawdy: nigdy radość nie była tak daleka, jak w malarstwie naszym dni dzisiejszych, ani też wolność tak martwa!

Naiwnym a schorzałym doktrynerom „nowej” sztuki zdaje się, że skoro świat cały żyje w obecnej epoce pod znakiem techniki, to i malarstwo poddać należy prawom konstrukcji maszyny, bo... w automobilu, aeroplanie czy w radioaparacie przejawia się genjusz ludzkiej myśli.

Wszakże czytamy w świeżo wydanej po polsku broszurce Alb. Gleizesa, że maszyny konstruowane przez człowieka są konkretnym wyrazem praw, rządzących światem fizycznym, praw, warunkujących formy. Dlatego (!) „twórczość artystyczna powinna być poddana tym samym warunkom. Aby stać się prawdziwą twórczością genju-

szu ludzkiego, musi być posłuszną regule konstrukcji i odrzucić wszelką formę przejściową, znaną”.

Jakgdyby nie było elementarnym i notorycznym faktem (wiadomym z historii sztuki i kultury całej ludzkości od najdawniejszych czasów) to — że sztuka jest zwykle odbiciem *całego* życia, a zawsze i nadewszystko: jego *uzupełnieniem*! Jakgdyby cyrkiel i matematyczne wzory mogły wyczerpać bez reszty całą treść ludzkiego ducha, zaspokoić wszelkie jego tęsknoty i jakgdyby zdołały „skonstruować” taki arcywspaniały hymn — w kształcie, barwie, słowie czy dźwięku — na cześć radości życia, na jaki może się zdobyć jeno genjusz wyobraźni i uczucia.

Jakgdyby wreszcie nie było najistotniejszą potrzebą każdego żywej bijącego serca przeżywanie w sztuce tego wszystkiego, czego nie znajduje w szarem i pospolitem życiu codziennem.

Obrazy T. Pruszkowskiego nie są ilustracjami jakiejś suchej, a priori, powziętej artystycznej doktryny, lecz są szczerym i bezpretensjonalnym przejawem prawdziwego talentu, są rzeczywiście malarskim czynem, bo Pruszkowski posiada właśnie owo niezbędne malarskie na świat spojrzenie.

Jako indywidualność malarska, pokrewny jest wielce Pruszkowski Konradowi Krzyżanowskiemu, który był jego mistrzem i przyjacielem. Ten sam rozmach i szeroki sposób prowadzenia pędzla, analogiczna gruntowna znajomość rysunku; nie kolorystyczna też strojna stanowi główną jego obrazów zaletę.

Pruszkowski dba przede wszystkim o plastyczność malowanego obiektu, o jego charakterystyczny wyraz i o siłę tego wyrazu; operuje czysto malarskimi walorami, pędzel jego chętnie przybiera tempo *allegro con brio*.

Patrząc na jego obrazy, odbiera się *przyjemne* wrażenie na myśl, z jaką *przyjemnością* i pasją ten artysta maluje; zapomina się nawet o tem, że ta ogromnie bogata jego zbiorowa wystawa, to owoc niebyłej pilności, pracy, wysiłku, zwłaszcza, że tyle w tych obrazach pokonywanych śmiało, czasem swobodnie, a czasem tylko dowolnie typowo malarskich trudności i zagadnień.

Stąd, a propos tej wystawy, owa dłuższa dygresja na aktualny temat antagonizmu konstrukcyjności mechanicznej z niepozbawioną poetycką fantazją malarskością.

Mieczysław Treter

Koń żołnierza i wódza

Zmieniają się wojny i zmienia się straszliwa ich władczyni — śmierć wojenna.

Dawniej wojownik ścierał się i umierał w boju bezpośrednim, w wielkiem podnieceniu, żywiołowo podobnem do wzruszeń napadającego lub broniącego się zwierzęcia. Bijąc się, czuł zbliżającego się oddechu, węzową prężność członków nieprzyjacielskich, widział tuż blisko nienawistne, wykrzywione wściekłością oblicze, zadawał i odbierał ciosy, jak w upojeniu, ginał i zatracał się bez reszty w pędzie, w ruchu, w zmaganiu się walki. W szale zapomnienia, czasem dzikiej rozkoszy przekraczał granice niebytu.

Dzisiaj wojna jest inna, stokroć przeraźliwsza, stokroć okrutniejsza. I stokroć bolesniejsze są jej zmagania się i zgon na polu bitwy.

Żołnierz spółczesny nie widzi prawie nieprzyjaciela, nie jest w stanie wyobrazić go sobie w transie niszczycielskiej wściekłości. Z trudem zmusza się, by nienawidzić czarne punkciki, ledwie widniejące na horyzoncie...

Dla spółczesnego żołnierza wróg stał się bezosobowym. Często jest to błękit cudnego, słonecznego dnia, z którego szafirów jednak leci ku niemu niedostrzegalna, wciąż czyhająca groza nagłego zgonu. Wieszcza mu go nie ludzkie przekleństwa i wypominania, lecz wycia przelatujących w podobłoczach granatów, pękanie szrapneli, lub miły skądinąd szczebiot śmigających wokoło kul... Ale czasem przychodzi ona w głębokim milczeniu i chyłkiem dusi niedostrzegalnym uściskiem spokojnego i ufne go człowieka. Jest to śmierć najstraszniejsza — śmierć gazowa. Ilość rodzajów tych tajemniczych śmierci mnoży się teraz bez liku: zmiażdżenie stopami żelaznych potwornych czołgów; porażenie piorunowemi prądami elektrycznymi; spopielenie fontannami ognia...

Jakże rzadko na żalosnych polach bojowych spotyka się teraz dusza z duszą, dłoń z dłonią, pierś z piersią człowieka?! Nadomiar dzisiaj żołnierz chodzi do boju w luźnym szeregu, a więc walczy i umiera samotny. O ileż więc musi on być bardziej posłuszny, niż dawniej w gromadzie, wewnętrznemu nakazowi obowiązku; o ileż silniej musi miłować to, co swoją piersią osłania i za co niesie życie

w ofierze, niż dawniej, kiedy na pomoc dyscyplinie wojskowej w stanowczej chwili przychodził zwykły szal bojowy!

Prócz tego żołnierz dzisiaj, to nie jest ten dawniejszy, ćwiczony na turniejach i w ciągłych musztrach rycerz, który obrał za swój zawód umiejętność zabijania i gotowość zostania zabitym. Dzisiejszy żołnierz to przeważnie spokojny pracownik, oderwany przed chwilą od swej niwy lub swego warsztatu dla obrony ich przed zniszczeniem, dla uchronienia od gwałtu swego gniazda rodzinnego, dla zachowania swego niezależnego miejsca wśród ludzkości. Bardzo w nim mało zawodowego zapaśnika i zamiłowania do walki. Swoją niechęć do bitwy, do ran bolesnych, do kalectwa, do przedwczesnego niebytu musi przełamywać z szalonym bólem przez wewnętrzny nakaz obowiązku i rozsądku, dla których dyscyplina wojskowa jest jedynie słabą ramką....

Koń rycerski, wierny towarzysz bojów człowieka od najdawniejszych czasów, przeżywał podobne koleje. Dawniej, dobry bachmat był umiejętnie wybierany z całego stada, musiał prócz zalet cielesnych wykazywać wojownicze instynkty i talenty, musiał być odważny, zapalczywy, zły, gdyż w czasie zapasów bili się nie tylko rycerze, lecz i ich konie. Podniecona do szalu kwadryga niosła wojownika, czy chciał czy nie chciał, w szeregi nieprzyjaciela. Rumak bił, tłoczył, kopał, szarpał zębami spotykane na drodze zwierzęta i ludzi.

BIUST SŁYNNEJ ŚPIEWACZKI MURZYŃSKIEJ, KTÓRA ZMARŁA PRZED PARU TYGODNIAMI W LONDYNIE



Florence Mills. — Rzeźbiła Zofia Rosen

Dziś wśród tłumu koni wojskowych, często branych wprost od pługów, wyprzęganych z wozu lub bryczki, bardzo rzadkie są konie rycerskie, bitne i odważne. Wprawdzie w czasie ataków wszelkie konie ponosi stadne uczucie, jak ponosi ono i żołnierzy, lecz wypadki bezpośredniego starcia są rzadkie i koń wojskowy przeżywa na wojnie spółczesnej te same co żołnierz uczucia dręczącego oczekiwania śmierci, bez pociechy jednak zupełnie wzniesłego poczucia poświęcenia, jakie ma człowiek.

Bo koń linjowy w czasie ognia doskonale rozumie niebezpieczeństwo, boi się i jedyną dlań ulgą i pociechą w tym czasie jest obecność, pieczy i opieka jego pana-żołnierza. Wzruszająca jest wprost nieraz jego ufność! Często parę słów otuchy uspokaja nerwowe drżenie członków konia i łagodzi jego śmiertelny niepokój. Dlatego to tak bardzo zżywają się na wojnie żołnierze ze swojemi wierzchowcami.

Konie wodzów noszą również na sobie odblask swojej epoki.

My, polacy, naród bohaterskiej konnicy, mamy cały szereg przeszlicznych legend o wierzchowcach wodzów, o ich dumie, o bojowych czynach, o rycerskich instynktach, wreszcie o wzajemnem przywiązaniu do siebie koni i jeźdźców. Przypomnę choćby wzruszającą opowieść o siwku Czarneckiego, którego umierający wódz kazał przyprowadzić sobie do łóża, aby się z nim pożegnać.

Kasztanka Marszałka Piłsudskiego powiększa szereg tych ciekawych wizerunków. Przypisać trzeba, że była ona w znacznej mierze dziecięciem swego wieku. Spokojna, łagodna, powołana raczej do sielskiej pracy i sielskich obyczajów, z trudem spełniała ciężkie obowiązki, jakie los jej narzucił na terenie obcym, ba, nawet wstrętnym. W czasie pochodu jeszcze było jako tako. Wprawdzie zachowywała się ona, z punktu widzenia wojskowego, niemożliwie: szła nie w nogę, zatrzymywała się, żeby uszczypnąć trawkę przydrożną, przechodziła na drugą stronę kolumny, kiedy zauważyła, że tam są smaczniejsze kwiaty, a niekiedy, korzystając z zamyślenia swojego pana, próbowała nawet zawrócić na łaki. Słowem, ku nieopisanemu zgorszeniu ułanów, wałęsała się jak „cywil - banda”. Boju nienawidziła. Huk armat czynił ją smutną, a skoro znalazła się na linii ostrzału, świst kul wywoływał u niej śmiertelne poty, drżenie ciała, pę-

kanie zaś szrapneli pozbawiało ją resztek rozsądku. Tej jej właściwości o mało raz nie przypłacił Komendant życiem. Gdy w odwrocie z pod Polskiej Góry trzeba było przebyć łączkę szczególnie obstrzeliwaną przez Moskali, Kasztanka, po wybuchu nad nią kilku szrapneli, zupełnie oszalała, przestała słuchać ostróg i wędziła, zaczęła nieprzytomnie skakać, kręcić się na miejscu, cofać... Komendant mógł być łatwo ugodzony jakim pociskiem — lub zostać wzięty do niewoli przez nadciągającego nieprzyjaciela. Z wielkim trudem udało się przeprowadzić ogłupiałe zwierzę przez pole śmierci.

Komendant jednak bardzo lubił Kasztankę i nie chciał jej za nic zmienić! Być może, był posłuszny podświadomemu uczuciu artysty, któremu przemawiał do serca dziwny i głęboki symbolizm tego naturalnego, żywiołowego lęku śmierci u zwierzęcia, opanowanego i kierowanego w bój, wraz z tysiącami posłusznych mu żołnierzy, przez jego nieulekłą duszę, żelazną wolę oraz mądre przekonanie, że wielkie szczęście oswobodzenia warte wielkiego cierpienia....

Wacław Sieroszewski

PÓWRÓT NA SCENĘ



P. Irena Regicz,

artystka teatru krakowskiego i lwowskiego, wraca na scenę, tworzy trupę objazdową dla Małopolski Wschodniej. Jeszcze w grudniu zacznie przedstawienia.

Drobiazgi teatralne

JAK DAWNO SIĘ MÓWI O UPADKU TEATRU?

Gdy przed kilku dziesiątkami lat zgryźliwi krytycy paryscy podjęli żalosne biadania nad upadkiem teatru, ówczesny administrator Komedji Francuskiej, znany powieściopisarz i historyk Julian Claretie zwrócił uwagę Sarcey'a, że ta sprawa nie jest tak nowa, jak się niektórym Zoilom wydawała.

— Aby pana przekonać, mogę panu polecić kilka dzieł w tej materji. W r. 1769 wyszła w Paryżu książeczka p. t. „Upadek smaku w teatrze”. W r. 1771 — „Upadek teatru i jego przyczyny”. W r. 1807 — „Przyczyny upadku teatru” (Cailhava). W 1828 — „Uwagi o sztuce dramatycznej, o aktorach i o przyczynach upadku teatru” (Robillon). W r. 1841 — „Rozważania o przyczynach upadku teatru i sztuki dramatycznej we Francji” (Vallier). W r. 1842 — „Czemu przypisać należy upadek tragedji we Francji?” (Pierre Victor). W r. 1849 — „O upadku sztuki dramatycznej” (Marteau).

Od tego czasu publikacje o rzekomym upadku teatru tak zaczęły się mnożyć, że niepodobna ich wyliczać. A nieboszczyk, którego uśmiercano, wciąż żyje i nienajgorzem cieszy się zdrowiem.

DZIEWIĘCIOLECIE ROSYJSKIEJ REPUBLIKI SOWIETÓW: UROCZYSTOŚĆ W MOSKWIE



Manifestacja młodzieży



Siedzą: (od lewej do prawej) pp. Illakowiczówna, Zofja Casanova, Nałkowska, Paulucci-Chludzińska, Br. Neufeldowa, stoją: pp. J. Kaden-Bandrowski, Podhorska-Okołów, Pelczyńska, Niklewiczowa (córka p. Casanovy), St. Krzywoszewski, F. Goetel, M. Treter, J. Herlaine i Boy-Żeleński

Fot. Marjan Fuks

Z TYGODNIA

Polski Klub Literacki (Pen-klub) podejmował w Resursie Kupieckiej znakomitą poetkę hiszpańską, p. Zofję Casanowę, która, jak wiadomo, przed laty poślubiła prof. Wincentego Lutosławskiego. Zofja Casanova cieszy się w swej ojczyźnie zasłużoną sławą i czcią. Rodacy obsypali ją najwyższymi zaszczytami. My, Polacy, mamy wobec niej wielkie długie wdzięczności. Jeśli Hiszpanja ma dokładniejsze wiadomości o Polsce, jeśli sprawa niepodległości polskiej znalazła na Półwyspie gorące sympatie, zawdzięczamy to głównie niezłomnej akcji Casanowy, która wytrwale i umiejętnie interesów polskich w prasie madryckiej broniła, fałszywe wiadomości prostowała, o biegu spraw polskich trafnie informowała. Jakie były jej uczucia wobec Polski, najlepiej świadczy fakt, że wszystkie trzy jej córki stały się Polkami, poślubiły Polaków i w Polsce mieszkają.

Jeden z naszych młodych poetów, który poświęcił się specjalnie studjom literatury hiszpańskiej, Janusz Herlaine w doskonale ujętym przemówieniu stwierdził, że na 18 tomów wybranych dzieł Casanowy w 17-u jest mowa o Polsce. Na skutek jej odczytu, wygłoszonego w Madrycie, wysłany został do rządu Sowieckiego w sprawie arcybiskupa Cieplaka adres, który, prócz licznych tysięcy podpi-

sów, zyskał także akces 15 tys. sefardim - żydów z Marokka! Przypomniat również niezliczone artykuły w najpopularniejszych czasopismach madryckich, w A. B. C., w „La Nation”, w „El Diario de la Marina”, poświęcone Polsce. Przypomniat jej podróże po Hiszpanji, które były nieprzerwaną propagandą na rzecz Polski, a które wszędzie wywoływały entuzjazm. Ów odczyt „O wysokim duchu patryjo-

KOMISARZ AMERYKAŃSKI W BANKU POLSKIM



Ch. Devey zasiadł po raz pierwszy w swym gabinecie w Banku Polskim w Warszawie

tycznym i cierpieniach wiekowych Polski”, wygłoszonym w auli uniwersytetu madryckiego, a który to odczyt tłum słuchaczy przyjął długo niemilkącymi okrzykami: — Niech żyje niepodległa Polska!

Zebranie w Resursie Kupieckiej miało charakter niezwykle serdeczny, — szlachetną atmosferę wdzięczności, szacunku i uznania.

Dyrektor Departamentu Sztuki, p. Jan Skotnicki w mowie, którą wygłosił w Krakowie, poruszył sprawę „kryzysu teatralnego”. Sedno zagadnienia tego kryzysu tkwi według p. Skotnickiego w tem, że wojna dokonała ogromnego przewrotu w psychice publiczności, teatr zaś pozostał takim, jakim był przed wojną, i tem samem stał się obcy dla powojennej publiczności.

— Tego stanu rzeczy reżyser, dyrektor, aktor, autor nie chcą zrozumieć i oskarżają rząd i samorząd, że nie otrzymują pieniędzy na pokrycie deficytu pustych sal, oskarżają publiczność o zdziczenie, brak kultury, płytkość.

— Tymczasem rząd i samorządy łożą na teatr u nas w Polsce więcej, niż gdzieindziej, publiczność zaś nie jest bynajmniej ani płytsza, ani głupsza od przedwojennej. Przeczą takiemu mniemaniu dziesiątki tysięcy młodzieży ze wszystkich sfer, garnące się do wyższej kultury, przeczy temu każdy robotnik, wertujący w chwilach wolnych taką czy inną gazetę. Nie upadek kultury obniżył frekwencję teatrów, lecz tylko nieprzystosowanie się teatru do zainteresowań obecnej publiczności. Sprawy, które emocjonują tę publiczność, nie są bynajmniej błahsze....

O ile zarzut, skierowany przeciw autorom, że nie umieją się przystosować do psychiki publiczności powojennej, budzi pewne zastrzeżenia, — bo schlebianie gustom publiczności nie jest cnotą, do której należałoby zachęcać pisarzy, — innym argumentom p. Skotnickiego niepodobna odmówić słuszności. Polska wydaje na teatry za dużo w stosunku do innych potrzeb kulturalnych. Pretensje wszystkich miast i miasteczek do posiadania własnych teatrów są przesadne. P. Skotnicki pominął jednak najważniejszą przyczynę upadku teatrów i ich deficytów: sceny prowincjonalne są nad wyraz lichy! Gdzież te czasy, kiedy zespoły lwowski i krakowski współzawodniczyły z warszawskimi Rozmaitościami. Zespoły aktorskie są teraz przeważnie słabe, wybitniejsze

siły wyemigrowały do Warszawy, dobór repertuaru przypadkowy, do twórczości polskiej nieufność, czasem wprost niechęć.

A stosunek krytyki prowincjonalnej do teatrów, jej poziom kulturalny, jej agresywność, wobec autorów polskich tak częsta napaśliwość?

Bardzo trafnie powiedział p. Skotnicki o kierownikach teatrów:

— ...Chcą gwałtem publiczności dawać to, czego ona sobie nie życzy, a potem narzekają na niepowodzenie...

P. Artur Śliwiński poruszył sprawę wzniesienia w Warszawie nowego gmachu dla Opery. Jeśli chodzi o istotną sanację finansów naszych Teatrów Miejskich, — tylko tą drogą da się ona przeprowadzić. Dzisiejszy Teatr Wielki musi wykazywać znaczne deficyty, bo jego pojemność jest zbyt mała.

Koszt przedstawienia operowego jest tak znaczny, że w Teatrze Wielkim, przy wyprzedanej sali, rachunek wykazuje bardzo poważny deficyt. Zaś niepodobna podnosić cen biletów. Przeciwnie, należałoby je raczej obniżyć, przystosować do środków dzisiejszej publiczności. Bo niesłusznem jest mniemanie, jakoby publiczność nie chciała w Warszawie chodzić do teatrów. Stosuje się to może — w pewnej mierze — do zamożniejszej burżuazji. Natomiast szersze warstwy garną się do Teatrów Miejskich, wypełniałyby chętnie sale, gdyby im udostępniono ceny. Dowodem przedstawienia po znizonych cenach dla Związków Zawodowych.

Gmach Operowy w Warszawie powinien zawierać od 2000 do 2500 miejsc. Teatr Wielki możnaby wówczas poświęcić wielkiemu repertuarowi, w Teatrze Narodowym — umieścić komedję, a szpetną budę, która nosi nazwę Teatru Letniego, spalić.

Gdzie powinien być wzniesiony gmach Operowy?

Właściwe jego miejsce, w Alei 3-go Maja, zabrano pod Muzeum Narodowe.

Odezwały się głosy, że Ministerjum Kolei nie będzie mogło długo pozostawać w gmachu przy zbiegu Alei Trzeciego Maja i Nowego Świata. Jest to pomieszczenie raczej tymczasowe. Dla Ministerjum Kolei wskazane jest miejsce tam, gdzie się mieści obecny dworzec Centralny, to jest czworobok między Aleją Jerozolimską, Marszałkowską i Chmielną. Plac narożny, w któ-

Z SALI ODCZYTOWEJ



D. Rajagopal, hindus, wygłosił odczyt o nauce I. Krishnamurti. Okultyści wysoko sobie cenią naukę tego bramina. Pani Besant zajmuje się propagandą jego talentów. D. Rajagopal jest również braminem. Pochodzi z południowych Indji. Należy do arystokracji swojej rasy. Skończył uniwersytet w Cambrzye

rym obecnie mieści się Ministerjum, byłby idealnym dla Opery.

Powiecie: ile trudności! jakie kombinacje! Zapewne. Warszawa jest tak fatalnie zabudowana, że przez długi czas trzeba będzie ciągle coś burzyć, i w tym względzie zawczasu powinien być plan wytknięty. Nowe gmachy reprezentacyjne powinny być obmyślane bardzo przezornie i starannie, aby już dla przyszłych pokoleń pozostały.

Zamierzenie na długą metę?

Teraz w Polsce nie ma zamierzeń na długą metę. Trzeba zawczasu podjąć wstępne, przygotowawcze prace. Być może zresztą, że znajdzie się inny plac, łatwiejszy do pozyskania. Była mowa o wydzieleniu kawałka Ogrodu Saskiego, u wylotu Marszałkowskiej...

W każdym razie inicjatywa jest rzuczona. Energja i wytrwałość p. Artura Śliwińskiego pozwalają rościć nadzieję, że będzie uparcie walczył ze szkopułami, by swe projekty urzeczywistnić.

— Takie są Rzeczypospolite, jakie ich dzieci chowanie!

Temi słowami Staszica apeluje Opieka Sądowa przy Sądzie dla nieletnich do społeczeństwa. Czy może być, aby w Państwie, które chce zająć poczesne miejsce w wielkiej rodzinie narodów kulturalnych, istniały — „dzieci niczyje”, dzieci żyjące w zaułkach miast, jak dzika zwierzyna w gąszczach kniei? Tak dzieje się podobno w Rosji Sowieckiej. W Petersburgu, w Mo-

skwie, — włóczą się po ulicach gromady zdziczałej dziatwy, która w dzień żebrze, nocą kryje się po pustkowiach, nie ma rodziców, ani krewnych, ani żadnych opiekunów... Dla Polski muszą być inne wzory. Oto W. Brytania już przed dwoma dziesiątkami lat zaadoptowała swoje opuszczone i zaniedbane dzieci, — tam już niema „dzieci niczyich”.

Lecz zanim to nastąpi, trzeba tym nieszczęśliwym przyjść z pomocą, ulżyć ich okrutnej doli, — trzeba dać im łyżkę ciepłej strawy, odzienie, chroniące przed zimnem. Zajrzyjmy do Sądu dla Nieletnich! Zobaczcie te młode, przez los wydziedziczone istoty, gdy je sprowadza policja, — zziębnięte, wychudłe, z pustymi nietylko żołądkami, ale sercami i głowami, — a nie oprzecie się głębokiemu wzruszeniu!

Oto zbliża się gwiazdka, dni radości dla dziatwy „szczęśliwie urodzonej”. Niechże ci, co tę radość dawać będą, i ci, co ją będą odbierać, nie zapomną o nieszczęsnych wydziedziczonych. Składajcie datki, ofiarujcie odzież znoszoną, przyjdźcie z pomocą „Opiece Sądowej”, która siedzibę ma przy Biurze Sądu Pokoju dla Nieletnich (Elektoralna 28). —

skrz.

SOFIA CASANOVA

Krople wody

*Są krople wody, niby łyzy promienne,
Co ledwo błysną — ulotnią się z oczu;
Są niby perły, co w morskiem roztoczu
Drgną — i wnet uschną w południe wiosenne.*

*Są krople wody, niby wieczne fale,
Co swym naciskiem kruszą halne stoki;
Co łąbią drogi podziemne — w głębokiej,
W nieprzeniknionej granitowej skale.*

*Dwie krople wody! Jakże niepodobne:
Jedna się rodzi i natychmiast ginie —
A druga czasów urąga lawinie
I kamienie w urwisko żałobne.*

*Serca pieśniarza takie same dzieje. —
Chwilami płyną łyzy przemijające
Które uśmiechu wnet osuszy słońce,
Albo je ciepłe rozlotnią nadzieje.*

*A są łyzy takie, co płyną i płyną —
I których groza sięga ducha treści:
To stalaktyty ogromnej boleści,
Co wiecznie trwają i nigdy nie giną.*

z hiszpańskiego tłumaczył
A. LANGE



Pierwsze posiedzenie nowej rady miejskiej w Kaliszu odbyło się dnia 17 b. m. z prezydentem miasta p. Szaraszem x Fot. Engel w Kaliszu

Z MUZYKI

MŁODZI PIANIŚCI

W roku bieżącym usłyszymy prawdopodobnie na estradzie wybitniejszych przedstawicieli najmłodszego pokolenia pianistów polskich. Do produkcji tych przywiązujemy większe znaczenie i stosujemy dość surową ocenę, a to ze względu, iż fortepian jest poniekąd naszym instrumentem narodowym. Po za fortepianem, zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach lat, pedagogzy nasi, czy to w dziedzinie skrzypiec, czy wiolonczeli, nie umieją, czy nie mogą wyprodukować uczniów na współczesnym poziomie wirtuozowskim.

W ostatnim tygodniu grało dwóch młodych pianistów: na estradzie Filharmonji: Jakób Gimpel, w sali Konserwatorium w imprezie Markiewicza Roman Jasiński.

Gimplowi wyrządzono na zeszłorocznym konkursie Chopin'a dużą krzywdę, mimo bowiem pochwalnego listu nie dopuszczono do grania koncertu z orkiestrą. Na szczęście, życie jest zawsze o wiele mądrzejsze od zaplątanych wyroków profesorskich. Młody pianista lwowski zdobywa sobie coraz większe uznanie, zarówno za granicą, we Włoszech, Niemczech, Holandji, jak też i u nas w kraju.

Pianistyczny talent Gimpla rozwija się z żywiołową siłą. Technika tego 20-letniego wirtuoza zwycięża dzisiaj największe trudności instrumentu z niebywałą zaiste łatwością. Sądzymy, że najwdzięczniejszą dziedziną tego talentu będzie repertuar od Brahmsa aż do najnowszych kompozytorów. Zarówno w Straussie, jak w Skrijabinie wykazał młody artysta doskonale poczucie stylu, ogromny rozmach, połączony ze świetną swobodą wykonania.

Roman Jasiński, który wystąpił na sali Konserwatorium z własnym recitalem, powinien jaknajczęściej grać publicznie. Otrząskać się jeszcze więcej z publicznością (znaczny postęp od zeszłego roku), pozbyć się „nerwów” i skrępowania wobec audytorjum. Dobry pianista zawsze ludziom śpiewa, nie sobie.

Technika p. Jasińskiego zaokrąglą się coraz wszechstronniej. Jest rzetelną, nie daje usterek, choć jeszcze nie pozwala słuchaczowi nie pamiętać o technice

Przy częstszych występach minie to z pewnością, jak również nerwowa jeszcze nieco alteracja temp.

P. Jasiński od nikogo niczego nie może się już nauczyć, wszystko obecnie musi już brać od samego siebie. Jest dojrzałym artystą. Dojrzałość owa winna właśnie podsunąć mu więcej swobody przy budowaniu frazy, większą miękkość tonu i więcej samorodnej refleksji. Pianista ten, orientując się bardzo konkretnie w stylach rozmaitych, chybia w stylu szopenowskim, grzesząc tu zbyt twardą dynamiką.

Mamy nadzieję słyszeć p. Jasińskiego w tym sezonie jeszcze kilka razy. Niczego mu już chyba nie brakuje, prócz właśnie pokonania pewnej sztywności w zętnięciu się z estradą.

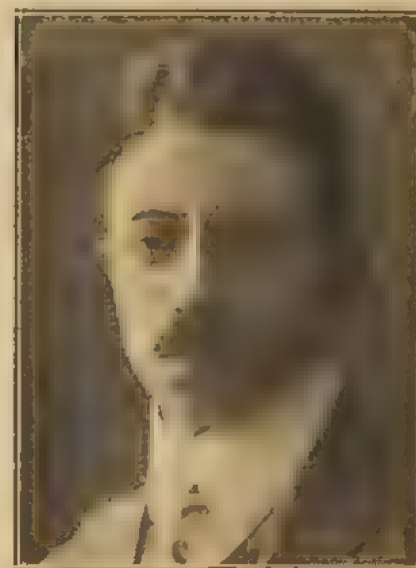
jkb.

Konferencja Międzynarodowa Unifikacji Prawa Karnego

W bieżącym miesiącu odbyła się w Warszawie pod przewodnictwem prof. E. Stan. Rappaporta Konferencja Międzynarodowa unifikacja prawa karnego. Obrady Konferencji trwały od 1 do 5 listopada 1927. Na Konferencję przybyło liczne grono uczonych z państw europejskich zajmujących się zagadnieniem kodyfikacji prawa karnego na tle jego unifikacji. W szczególności przybyli: prof. Sasserath, prof. Braffort, adw. Jofé, adw. Van Parys (Belgia), prof. Cuello - Calon (Hiszpania), sędzia Caloyanni (Grecja), prof. Roux (Francja), prof. Ferri, prof. Massari (Włochy), prof. Pella, prez. Jonescu-Dolj. sen. Pella, sędzia Kisielica, prof. Radulescu (Rumunia), i prof. Givanovitch (Jugosławia). Czechosłowację reprezentowali: minister pełnomocny poseł Girsu i radca prawny Visek.

Konferencja obradowała w 3 Komisjach, pod przewodnictwem: sędziego Caloyanniego, prof. Roux i prof. Sasseratha. Rozważano zagadnienia: prawa karnego międzynarodowego, obrony koniecznej i stanu wyższej konieczności, usiłowania i współdziałania. Referentem Generalnym był prof. Wacław Makowski, b. min. sprawiedliwości.

Oprócz uchwał merytorycznych, załatwiających powyższe kwestje, ustalono i powzięto odnośną uchwałę, stwierdzającą konieczność kontynuowania prac rad uni-



St. Rappaport

fikacją prawa karnego przez utworzenie Instytutu Międzynarodowego unifikacji prawa karnego.

Uczestnicy Konferencji po jej ukończeniu udali się wraz z prezesem prof. E. Stan. Rappaportem i członkami delegacji polskiej do Wilna, gdzie spędzili jeden dzień.

ZIEĆ MIKADA Z MAŁŻONKĄ W WARSZAWIE



Dnia 25-XI wieczorem przybył do Warszawy syn b. cesarza Korei ks. Gen-Ri, wraz ze swą małżonką, księżną Masako, córką japońskiego Mikada. Parę arcyksiążęcą powitali na Dworcu Gł. przedstawiciele Poselstwa Japońskiego, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Towarzystwa Polsko-Japońskiego w Warszawie

Fot. Photo-Plat



Rodo Millich, członek szajki bandyckiej, którego sąd w Illinois skazał na karę śmierci przez powieszenie za liczne rabunki, przed egzekucją odczytuje ostatnie słowo do obywateli: oświadcza, że jest niewinny. Po tem oświadczeniu natychmiast go powieszono. W Stanach Zjednoczonych naogół tracą skazańców na elektrycznem krześle

Na wielkim przełomie sezonów sportowych

Zmiana dam — Uchylenie zasłony zimowej — Przewrót majowy w sporcie — Impet i optymizm — Ważne posiedzenie Z. Z. — Kunsztowny system olimpijski — Racjonalna polityka.

Rok rocznie sport polski „przełamuje” się na dwa sezony: letni i zimowy. Ta zmiana „dam” jest u nas wyraźniejsza i bardziej radykalna, niż zagranicą. Nie mamy odpowiednich urządzeń, krytych hal, pływalni i t. d., w których uprawia się przez zimę ćwiczenia i gry sportowe, królujące w czasie letnim na zielonej murawie, bieżni i korcie. Tenis, lekkaatletyka, kolarstwo i pływanie nie doznają zagranicą zbyt dużego uszczerbku w zimie.

U nas wszystko zamiera. Funkcjonują jedynie sporty od „urodzenia” „zadomowione”, jak boks, szermierka, strzelanie i ping-pong. Lecz nie są to sporty masowe! Uprawiają je jednostki i interesują się nimi również jednostki, — z wyjątkiem boksu. Cały punkt ciężkości w okresie zimowym przenosi się na „południe”, t. zn. do Zakopanego. Sekundują mu dość słabo jeszcze Lwów i Krynica, trochę Bielsko.

Stolicą sportów zimowych jest jednakże Zakopane.

W tym roku „stołeczność” ta wzbogaci się hokejem, który w najbliższym czasie przenosi pod Tatry swoje lary i penaty na cały sezon zimowy. Stolica Podhala przygotowuje się godnie na przyjęcie tego pięknego, wspaniałego sportu. Budują się dwa boiska hokejowe, na których rozegrane zostaną wszystkie najważniejsze spotkania międzyklubowe, mistrzostwo Polski, wielkie międzynarodowe zawody, i „cały” trening przedolimpijski.

Zakopane wzbogaci się o jedną niewyzyskaną dotychczas zupełnie na jego terenie gałąź sportów ślizgawkowych, posiadających u nas tak piękne tradycje.

Narciarstwo, najpiękniejszy sport na kuli ziemskiej, jak zgodnie przyznają zarówno przysięgli narciarze, jak i ci wszyscy, którzy choć trochę go spróbowali, przygotowuje się również całą parą do wielkich zadań, czekających naszych najlepszych w St. Moritz i w kraju. W tym roku „rodzimy” majątek narciarski składać się będzie z czterech wielkich skocznii: dwóch w Zakopanem i po jednej we Lwowie i Krynicy, która buduje równocześnie

nie boisko hokejowe z wszystkimi niezbędnymi urządzeniami, jak widownia, szatnie, oświetlenie elektryczne i t. d.

Uchyliwszy zimowej zasłony z oczekujących nas w najbliższym czasie rozkoszy śnieżno-mroźnych, musimy jednak rzucić jeszcze okiem na najbliższą letnią przeszłość sportową i zrobić mały rachunek sumienia z „czynów” dokonanych pomyślnie i niektórych, (jak zawsze w życiu) sfuszerowanych fatalnie.

Przedewszystkiem uderza w minionym „roku sportowym” wielki, żywiołowy rozwój wszystkich gałęzi sportu polskiego!

Bezpośredni wpływ na to ocknięcie z wieloletniego snu „fizycznego” miał bezwzględnie przewrót majowy i wszystkie jego tak zbawienne dla nas następstwa.

Państwo drgnęło i obudziło się do nowej przesuniętej o pewną ilość stopni rzeczywistości.

Sport będący jednym ze zjawisk najbardziej związanych z realną rzeczywistością odczuł na sobie bardzo silnie „uderzenie” nowej sytuacji. Zerwał się do życia! Ogólny optymizm „sił działających”, poparty realnością subwencji i aparatem organizacyjnym P. U. W. F.: ośrodkami wychowania fizycznego, uderzył, jak potężny podmuch i oczyszczając zaśniedziałą atmosferę bezradności i beznadziejności, przewrócił wszystko do góry nogami.

Masy garną się do sportu, gdyż umożliwia się im treningi na budujących się z coraz większym „impetem” boiskach i stadionach. Trenerzy lekkoatletyczni objeżdżają Polskę, budząc do życia ten najpożyteczniejszy sport po miastach i miasteczkach. Poznań wyszukała całe serje instruktorów rozpluwających się jak fala ożywcza po całym kraju.

Na ostatniem zebraniu zarządu Związku Polskich Związków Sportowych dowiedzieliśmy się, że na inwestycje sportowe w nadchodzącym roku budżetowym przeznaczono poważną sumę 4.400.000 złotych! Organizują się nowe związki: Polski Związek Jeździecki, Związek Sportowo - Strzelecki i Gier Ruchomych. Agrykoła będzie przekształcona na wzorowy park sportowy. Cały świat sportowy żyje pod hypnotycznym urokiem przyszłych Igrzysk Olimpijskich w St. Moritz i w Amsterdamie.

Polski Komitet Olimpijski, Państwowy Urz. Wych. Fizycz. i Mi-

nist. Spr. zagarniczych, naoliwiony odpowiednio wielki wehikuł przygotowań olimpijskich, dolewa ją stale i umiejętnie oliwy do ognia zapалу, który porusza ów wehikuł.

Ale bo też olbrzym ten rozrasta się do imponujących rozmiarów: lekkoatletyka, narciarstwo, piłka nożna, wioślarstwo, pływanie, boks i przedewszystkiem najbardziej umiłowany nasz pupil sportowy, b-jaminek, szczególnie drogi po nowojorskich radościach, stara odwieczna, tradycyjna hippika!

Na nią liczymy, przedewszystkiem w niej pokładamy główne nadzieje.

Hippika „wywinduje” nasz sztandar na szczyt masztu olimpijskiego! W tej konkurencji liczymy na zwycięstwo i musimy zwyciężyć! Chyba, że znowu moce piekielne w postaci pecha i tak dobrze nam znanej tremy, wobec wielkiej, pompatycznej konkurencji międzynarodowej, spletają jakiegoś figla, jak to nieraz już bywało!

Władze sportowe po doświadczeniach paryskiej olimpiady zastosowały zupełnie inną taktykę. Nie wysyłamy do Amsterdamu wszystkiego, co żyje i chciałoby jechać. Nie chcemy powtarzać kompromitującej sytuacji, gdy zawodnicy polscy znajdowali się we wszystkich prawie konkurencjach poza nawiasem, bez głosu, bez szans, wogóle bez niczego...

Obesłane będą te działy, których barwy polskie mogą dojść do pół i ćwierć finałów.

Dotyczy to przedewszystkiem sportów zimowych (narciarstwo, hokej), następnie: lekkaatletyka, piłka nożna, kolarstwo, wioślarstwo.

Beznadziejnie przedstawia się sytuacja w boksie i pływaniu.

Ustanowione przez Polski Związek Pływacki normy dla zawodników występujących na koszt Komitetu Olimpijskiego są zdaje się niedoścignionem marzeniem dla naszych mistrzów. Bo porównajmy tylko: na 100 m. styl dowolny „potrzeba” 1 m. 9 s., a obecny rekord polski Kuncewicz stoi jak mur na 1 m. 12.5 s. Im dłuższe dystanse, tem większe różnice. Na 400 m. st. dow. minimum wynosi 5 m. 45 s., a mamy 6 m. 11 s. Na 1500 — 23 m. 50 s. — 25 m. 29 s. W konkurencji pań odległość między marzeniem olimpijskiem a rzeczywistością „krajową” jest jeszcze większa np.: 100 m. st. dow. 1.22 — 1.42.6! 400 m. st. dow. — 6.50 — 7.54.2.

Żelazne, niewzruszone klauzule w postaci minimów są jedynym racjonalnem rozwiązaniem naszej polityki olimpijskiej.

Zawodnicy, przygotowujący się do igrzysk, wiedzą, czego się od nich wymaga. Wyniki cenzuralne są świetnym doppingiem do pracy, której program i rozkład ma swój jasny i logiczny sens i cel.

Bardzo być może, że sito minimum obetnie polską reprezentację do kilku osób, lecz, ci, co pojadą, swoje zrobią, i nie skompromitują nas. Do polityki tej przyłączył się zupełnie słusznie Zw. Pol. Zw. Sp. który wprowadził bardzo pożyteczną klauzulę dla drużyn i zawodników wyjeżdżających zagranicę. Dla uniknięcia wyjazdu słabych zespołów i poszczególnych reprezentantów obniżających tem samem prestige polskiego sportu, wszyscy wyjeżdżający, a chcący korzystać z ulg paszportowych, subwencji i poparcia dyplomatycznego uzyskać muszą poprzednio opinię Z. Z. i aurobatę Państw. Urz. Wych. Fiz.

Oto racjonalna polityka!

R.

ZGON SYNA PREZYDENTA



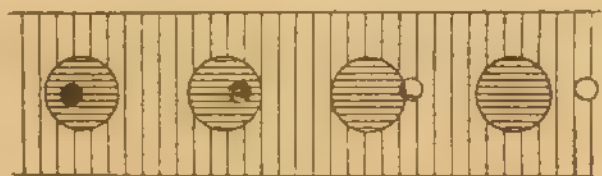
Dnia 23 b. m. zmarł inż. Franciszek Mościcki, syn p. prezydenta, ukończywszy zaledwie 27 lat. Ś. p. inż. Mościcki zostawił żonę, którą poślubił kilka miesięcy temu

Zaćmienie księżyc

Ostatni z tegorocznych zjawisk astronomicznych, widzialnych w Polsce, będzie całkowite zaćmienie księżyc w dniu 8 grudnia r. b. (częściowe zaćmienie słońca dnia 24 grudnia widzialne będzie jedynie na Oceanie Antarktycznym).

Zjawisko zaćmienia księżyc znane było już w bardzo odległej starożytności. Najstarszy z pomiędzy znanych nam pomników astronomicznych, który zawdzięczamy Chaldejczykom, zawiera obserwacje trzech zaćmień księżyc, dokonane w latach 720 i 719 przed Nar. Chr.; obserwacje te zużytkował Ptolomeusz w swojej teorii księżyc. Zaćmienie księżyc, jak ogólnie wiadomo, zachodzi wtedy, gdy w pewnej chwili ziemia staje na drodze między słońcem a księżycem, który pogrążając się wtedy w stożku cienia, odrzuconego przez ziemię, ulega zaćmieniu. Pierwszym więc warunkiem zaćmienia księżyc jest, żeby księżyc był w przeciwstawieniu, czyli opozycji ze słońcem, co odpowiada fazie pełni. Jednak nie w czasie każdej pełni zachodzi zaćmienie księżyc, gdyż księżyc mija zazwyczaj cień odrzucony przez ziemię, przechodząc powyżej lub poniżej cienia. Przyczyną tego jest pochylenie drogi księżyc do płaszczyzny ekliptyki, t. j. drogi ziemi wokół słońca, wynoszące $5^{\circ} 8,5$, a w płaszczyźnie ekliptyki leży cień kuli ziemskiej. Stąd wynika drugi warunek możliwości zaćmienia księżyc. Księżyc musi w czasie pełni znajdować się w płaszczyźnie ekliptyki albo w jej pobliżu, a ponieważ punktami przecięcia drogi księżyc z ekliptyką są t. zw. węzły, więc księżyc musi znajdować się w pobliżu jednego z węzłów albo w samym węźle. Zaćmienia księżyc bywają całkowite i częściowe. Gdy księżyc pogrąży się w stożku półcienia, zachodzi zaćmienie częściowe, gdy zaś wchodzi w stożek pełne-

go cienia, ma miejsce zaćmienie całkowite. Jeżeli w czasie pełni odległość księżyc od węzła jest mniejsza, niż $4^{\circ} 5'$, to musi zajść całkowite zaćmienie księżyc, ale zajść jeszcze może nawet przy odległości $5^{\circ} 29'$; zależy to od wielkości promienia koła cienia w odległości księżyc od ziemi; wielkość ta zmienia się wraz z odległością ziemi od słońca i księżyc od ziemi. Jeżeli odległość księżyc od węzła jest w czasie pełni mniejsza, niż



Zaćmienie księżyc

$9^{\circ} 10'$, to musi zajść przynajmniej częściowe zaćmienie księżyc, ale zaćmienie częściowe możliwe jest jeszcze przy odległości $12^{\circ} 32'$ księżyc od węzła. Gdy odległość od węzła przekroczy tę granicę, zaćmienie księżyc jest już niemożliwe. Aby księżyc mógł ulec zaćmieniu przez pogrążenie się w stożku pełnego cienia, musi odległość od ziemi być mniejsza, aniżeli wysokość tego stożka. Średnia odległość wierzchołka stożka pełnego cienia od środka ziemi jest równa 222 promieniom równika ziemskiego, że zaś średnia odległość księżyc od ziemi wynosi 60 promieni, więc księżyc może się pogrążyć w stożku pełnego cienia. Zaznaczyć przytem należy, że promień koła przecięcia stożka płaszczyzną prostopadłą do jego osi w odległości drogi księżyc od ziemi wynosi 0,73 promienia, a promień księżyc równa się 0,27 promienia równika ziemskiego. Księżyc może więc całkowi-

cie pogrążyć się w cieniu. Zaćmienie księżyc jest zjawiskiem, które zaczyna się i kończy jednocześnie dla wszystkich miejscowości ziemi. Jest ono widzialne jednocześnie na całej półkuli, dla której księżyc jest nad poziomem w czasie zaćmienia. Obserwując zaćmienie od samego początku, spostrzegamy, że wschodni brzeg księżyc staje się mniej jasnym; to lekkie przyćmienie jest spowodowane przez półcień ziemi, stopniowo przechodzący w pełny cień, w który księżyc zanurza się przy zaćmieniu całkowitem. Początkiem zaćmienia jest chwila, w której księżyc styka się ze stożkiem cienia ziemskiego, wchodząc do niego, końcem zaś chwila takiegoż zetknięcia przy wyjściu z cienia. Gdy księżyc pogrąży się w stożku półcienia, jasność jego prawie się nie zmniejsza. Dostrzegalne zaćmienie księżyc zachodzi dopiero wówczas, gdy pogrąży się on w stożku pełnego cienia, ale i wtedy, w czasie całkowitego zaćmienia, księżyc nigdy nie znika; owszem jest widoczny, i wydaje się wtedy, jakby przykryty gęstym woalem i posiada barwę brunatno-czerwonawą. Że księżyc w czasie całkowitego zaćmienia jest widoczny, powoduje to załamanie promieni słonecznych w atmosferze ziemskiej, które załamując się, częściowo oświetlają księżyc (refrakcja astronomiczna), kolor zaś księżyc w czasie całkowitego zaćmienia pochodzi wskutek pochłaniania przez atmosferę wszystkich promieni słońca z wyjątkiem promieni o najdłuższej fali, czyli czerwonych (absorbpcja atmosferyczna).

Czas trwania zaćmienia jest tem dłuższy, im księżyc jest bliższy węzła, gdyż tem większą drogę przebiega środek księżyc wewnątrz koła cienia.

Jeżeli węzeł znajduje się w samym środku koła cienia, to księżyc przebiega drogę najdłuższą, mianowicie średnicę tego koła. Zaćmienie wtedy nazywa się centralnem i trwa najdłużej. Czas trwania zaćmienia centralnego dochodzić może do trzech godzin. Naogół bywają dwa lub trzy zaćmienia księżyc rocznie, z nich co najmniej jedno całkowite.

Dane, dotyczące całkowitego zaćmienia księżyc w dniu 8 grudnia, są następujące:

Czas śred. europ.

Księżyc wchodzi w półcień	o g. 15 m. 53,0
Księżyc wchodzi w cień	o g. 16 m. 51,9
Początek całkowitego zaćmienia	o g. 17 m. 54,5
Środek zaćmienia	o g. 18 m. 34,6
Koniec całkowitego zaćmienia	o g. 19 m. 14,9
Księżyc opuszcza cień	o g. 20 m. 17,7
Księżyc opuszcza półcień	o g. 21 m. 17,2
Kąt pozycyjny wejścia	62°
Kąt pozycyjny wyjścia	275°

Wielkość zaćmienia = 1,358 średnicy księżyc.

Prof. Aleksander Kochański

Dr. med. Z. FAJNCYN
LESZNO 36 TEL. 287-74

Choroby weneryczne, skórne,
włosów i niemoc płciowa.
Gabinet światło-leczniczy. Ana-
- - - liza krwi na syf. - - -

Przyjmuje do 1 pp. i od
- - - 3 do 8 wiecz. - - -

NIEZAMOŻNYM USTĘPSTWA



Projekt drugiego budynku mającego stanowić całość z budynkiem wykończonym

NIA NOWYCH SZLAKACH ROZROSTU NASZEJ STOLICY

Jest w Warszawie dzielnica, w której zapomnieć można na chwilę o ciągłych utyskiwaniach na głód mieszkaniowy, zastój budowlany, brak kapitałów i inicjatywy.

Wszystko chełpi się tu białą świeżością swych murów, drwi sobie z przysłowiczej ciasnoty wielkomiejskiej, bo wysokie, wielopiętrowe domy są tu rzadkością niemal, a kokieterijne, z widoczną pretensją do architektonicznej wartości, budowane, niewielkie, dwupiętrowe przeważnie domy - pałacyki luźno rozrzucone są po obszernej przestrzeni.

Dzielnica ta powstała z amerykańską wprost szybkością w ciągu ostatnich paru lat, w okresie najcięższej, powojennej stagnacji.

Kiedys będzie to najwykwintniejsza, najbogatsza część Warszawy, a dziś już widzimy najważniejsze jej zarysy, które ulicę Górnośląską łączą z naszymi Polami Elizejskimi — Aleją Ujazdowską, spadając lekko ku ulicy Rozbrat i Czerniakowskiej, obejmują szeroką połąkę wolnych jeszcze lub nieodpowiednio zużytkowanych terenów, a w niedalekiej zapewne przyszłości przerzucą się szeroko i daleko aż hen, ku Wiśle, aby stąd wyciągnąć władcze ramiona swych mostów i drugi brzeg rzeki wpleść w jedno wielkie kolisko polskiej stolicy.

Jest to zdrowy instynkt, który właśnie w tym kierunku popycha rozwój Warszawy. Miasta, które miały odegrać pewną rolę, powstawały zawsze nad rzekami i rozbudowywały się wzdłuż ich brzegów, zapewnia-

jąc sobie jednocześnie szerokie możliwości rozrostu w obie strony.

Budując w tak szybkim tempie ulicę Górnośląską, Warszawa stworzyła sobie nowy piękny wylot ku swej rzece, otworzyła sobie szeroką drogę do racjonalne-

go rozwoju, którego przyspieszone tempo nigdzie może nie wyczuwa się tak wyraźnie, jak właśnie w tej dzielnicy.

A nie są to już dziś jakieś symboliczne gzygżaki małych domków, którymi zazwyczaj znaczy miasto swój zwycięski pochód naprzód. Obejmowanie przez stolicę nowych terenów zaznacza się tu odrazu wielkimi, planowo rozmieszczonymi gmachami. Już dziś stanął tam prawie zupełnie wykończony jeden z najpiękniejszych i najokazalszych kościołów o wieży, której tuki przewyższać będą wieżycy Świętego tumczęstochowskiego. Już dziś imponuje tu swą okazałością i doskonałym przystosowaniem do swego przeznaczenia gmach nowego gimnazjum o wielkich oknach i szerokiej przestrzeni, jaka go okala. Jakże inaczej wyglądają dawne nasze lokale szkolne i jakże szczęśliwa będzie nasza młodzież, która w takiej polskiej szkole pobierać będzie naukę!

Już tych kilka nowych budowli, które obecnie wznoszone są przy ulicy Rozbrat, a niebawem liczba ich podniesie się znacznie, gdyż właśnie w tej dzielnicy projektowane jest wzniesienie całego szeregu państwowych gmachów reprezentacyjnych, dają wyobraźnię o przyszłym wyglądzie tej godnej siostrzycy i sąsiadki ulicy Górnośląskiej.

Ale jednocześnie z tymi wysiłkami władz państwowych i miejskich w tej budzącej się dzielnicy dochodzić zaczyna do głosu i inicjatywa prywatna.

Pierwszy impuls dał jej znany przemysłowiec, Stanisław hr. Ledóchowski. Wyczuł on, iż



Fragment korytarza

Fot. W. Ziarkowski



Wnętrze pokoju

Fot. W. Złakowski

ulica Przemysłowa, która niegdyś odpowiadając swej nazwie, była skupieniem fabryk i zakładów przemysłowych, wciągnięta w orbitę rozwojową stolicy stracić musi pierwotny swój charakter. Że stawszy się poważną arterią życia i ruchu, dalej ku krańcom miasta wypchnąć będzie musiała swe warsztaty pracy.

Wychodząc z tego założenia, hr. Ledóchowski postanowił usunąć z całego kompleksu należących do niego budynków rozmaite przedsiębiorstwa fabryczne, a zdrowe, krzepkie ich mury przerobić na jeden, wielki dom mieszkalny.

Teoretycznie zadanie było racjonalne i proste. Praktycznie nastęrczało ono trudności, przed którymi cofnąłby się niejeden. Ale hr. Ledóchowski planowo przystąpił do pracy i zapewniwszy sobie tańszy od naszego kredyt zagraniczny, przystąpił do konsekwentnego przeprowadzenia swego projektu.

Nie spuszczając z oka całości planu, zabrał się najpierw do przeróbki jednego budynku, który jednak wytkniętymi już korytarzami połączy się z innymi i w kilka miesięcy zbudował, wykończył i z wy-

kwintem umeblował 62 pokoje, które obecnie są już wynajmowane, w najbliższej przyszłości będzie ich miał 112, a gdy cały gmach zostanie przekształcony, rozporządzać będzie liczbą 320 pokoiów, 80 wani, nie licząc sal czytelni, bibliotecznych, jadalni i t. p.

Hr. Ledóchowski mawia często z uśmiechem, iż pomysłem swym wyprzedził on rozwój wypadków, gdyż właściwą jego koncepcją było stworzenie w tej nowej dzielnicy wielkiego, wzorowanego na zagranicy hotelu. Rozumie on jednak, że do posiadania go podrosnąć musi dopiero cała dzielnica.

Z drugiej strony, zdając sobie sprawę z istotnej potrzeby stolicy, poczuwał się on do obowiązku przysporzenia Warszawie kilkudziesięciu czy stukilkudziesięciu pokoiów mieszkalnych.

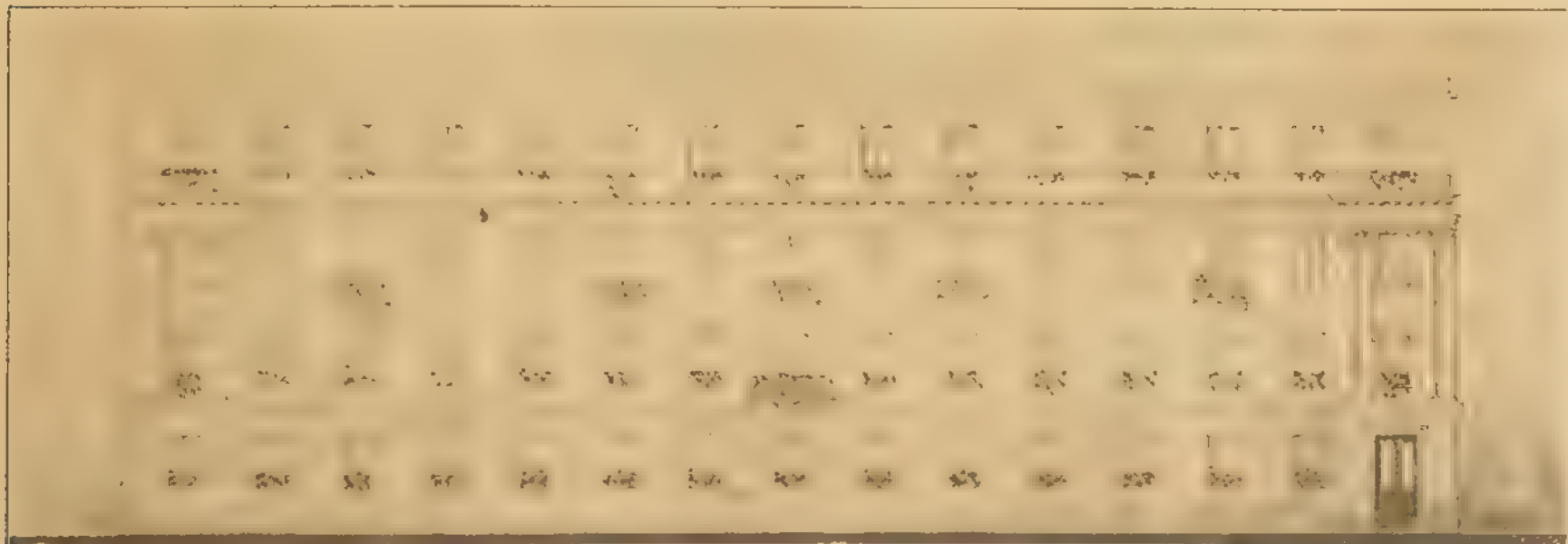
A są to rzeczywiście mieszkania, o jakich dotychczas marzyć nie było wolno w Warszawie rzeszy nieszczęśliwców, skazanych na tułanie się po tak zwanych „pokojach przy rodzinie”.

Umiejętnie wykreślone z całości budowy, regularne w swej formie, pełne swia-

ła i powietrza, a w dodatku umeblowane z wyszukany smakiem, który potrafi dostosować każdy szczegół do pewnego zasadniczego tonu, pokoje te dawać będą swym mieszkańcom maximum wygod i komfortu, jakich wymagać można od tego rodzaju mieszkania. Aby pokazać, że nawet w trudnych warunkach, można tworzyć dzieła, zakreślone na szeroka skalę i aby zachęcić nasze sfery finansowe do wkroczenia na tory tak przekonująco wytknięte przez hr. Ledóchowskiego podajemy kilka zdjęć z fragmentów przerobionego już gmachu. Dają one dostateczne wyobrażenie o tem, czem będzie on z chwilą gdy całe dzieło zostanie wykonane.

Wszystkie te poczynania zarówno władz państwowych i samorządowych, jak i prywatnych jednostek są jakoby jaskółkami, zwiastującymi bliski już moment zbudzenia się życia w nowej komórce organizmu wielkiego miasta, jakim stać się musi w niedalekiej już przyszłości polska stolica.

St. Gacki



Widok fasady domu dochodowego hr. Ledóchowskiego

Polskie Zakłady Skody S. A. w Warszawie



Fragment lasu pasów transmisyjnych Zakładów Skody na Okęciu

Fot. Marjan Fuks

Faktem pierwszorzędного znaczenia w wewnętrznym życiu Polki, który odbił się rozległym, doniosłym echem po całym naszym kraju, niewątpliwie zaś wywarł niemałe wrażenie zagranicą, było poświęcenie i otwarcie pierwszej wielkiej polskiej wytwórni silników lotniczych założonej przez Polskie Zakłady Skody S. A.

Sama nazwa firmy jest bardzo wymowna dla każdego, kto choćby pobieżnie interesuje się wielkim przemysłem na rynku wszechświatowym. Czeska Skoda, z centralą w Pradze, znana jest dobrze od lat blisko 60-ciu ze swej wielostronnej wytwórczości, przodującej chlubnie na polu techniki. Sama więc firma daje bardzo poważną rękojmię, iż mamy do czynienia nie z próbami iktórych wartość dopiero przyszłość wykazać może, lecz z wielkim doświadczeniem, gruntowną sumiennością i wytrawną pracą, prowadzoną przez wybitnych fachowców.

Polskie Zakłady Skody poświęcone są jednej tylko gałęzi produkcji, niezmiernie jednak doniosłej, wyrabiają one mianowicie silniki lotnicze o sile 450 koni syst. Lorraine Dietrich'a. Zakłady te powstały na terenie wsi Okęcie pod Warszawą, gdzie przed kilku laty rozpoczęto budowę fabryki lotniczej T-wa Frankopol. Budowy tej jednak nie ukończono. Teren wraz z niewykończoną halą fabryczną nabyły Polskie Zakłady Skoda na podstawie odpowiednich umów z rządem polskim,

związanych z treścią traktatów między Polską a Czechosłowacją.

Wzięto się do pracy z niebywałą energią dzięki czemu kierownictwo zdołało z pośpiechem iście amerykańskim wzniesć przed nastaniem zimy, czyli w 4½ miesiąca, budowle fabryczne, umontować w nich maszyny, i obrabiarki oraz uruchomić zakłady. Wśród budowli fabrycznych powstał oddzielny dom mieszkalny dla urzędników, których fabryka zatrudnia 120, a wśród nich 35 inżynierów. Wkrótce będzie rozpoczęta budowa domów robotniczych. W chwili uruchomienia fabryka dała zajęcie 550 robotnikom, stopniowo jednak liczba ta będzie podwojona, czyli dojdzie do 1100. Już ten jeden fakt budowy domów dla urzędników i robotników świadczy o głębokim zrozumieniu przez Zarząd zagadnień społecznych, co jest szczególnie ważne w Polsce, gdzie jak wiadomo, sprawa mieszkaniowa po wojnie doszła do ostrego stanu katastrofy gospodarczo - społecznej.

Zabudowana powierzchnia na Okęciu zajmuje obszar 17.000 metr. kw. Obecnie czynnych jest 360 obrabiarek, stopniowo jednak będzie ich jeszcze uruchomionych kilkaset.

Wszelkie narzędzia pracy stanowią najnowsze typy w technice współczesnej. Założono również przy Zakładach laboratorium chemiczno - mechaniczne wraz ze stacją prób.

Jako dowód szczególnej dbałości o byt urzędników i robotników podkreślamy, iż Zarząd zakładów w dniu otwarcia złożył znaczną ofiarę na fundusz zapomogowy, podzielony na równe części dla urzędników i robotników.

Wielkie znaczenie tej nowej placówki, założonej przez przemysłowców zaprzyjaźnionej z nami Czechosłowacją, polega na tem, iż Polska posiadając już kilka fabryk samolotów, w wyrobie najważniejszej i najczulszej części tych aparatów, stanowiących właściwe ich serca, a mianowicie silników, była ściśle uzależniona od zagranicy. W razie wojny mogłoby to mieć następstwa nieobliczalne. Powstanie Polskich Zakładów Skody daje nam w dalszym rozwoju lotnictwa zupełną niezależność, możemy bowiem rozwijać samodzielną produkcję w rozmiarach, odpowiadających istotnym potrzebom.

Na czele Zakładów stoi Rada Zawiadująca, do której wchodzi: Prezes Stanisław Ks. Lubomirski, Wiceprezes Senator Józef Simonek, Członkowie Prof. Stanisław Okolski, inż. Stefan Skoczyński, dyr. Bolesław Awenarius, dyr. Tadeusz Heyne, dyr. dr. Władysław Sykora, dyr. Włodzimierz Fiala oraz dyr. Wilhelm Hromadko.

Naczelnym dyrektorem Zakładów jest inż. Tadeusz Heyne, dyrektorem technicznym inż. prof. St. Plużański.

Uroczysty akt poświęcenia stwierdził



Wieniec Skody na Grobie Nieznanego żołnierza, od lewej ku prawej: Dr. J. Scheiner, członek zarządu czeskich Zakładów Skody, Generalny dyrektor czeskich Zakładów Skody dr. K. Loewenstein, prezes rady Zakładów Skody senator J. Simonek, naczelny dyrektor czeskich Zakładów Skody inż. V. Fiala, przedstawiciel czeskich Zakładów Skody w Polsce dyr. K. Baxant, naczelny dyrektor czeskich Zakładów Skody dr. V. Sykora, Attaché Wojskowy Czechosłowacji pułkownik Viest i Radca Handlowy Poselstwa Czechosłowackiego prof. M. Lom.



Wspólna fotografia Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego z robotnikami Polskich Zakładów Skody, w dniu poświęcenia tego nowego wielkiego warsztatu pracy dla pożytku lotnictwa polskiego. Obok p. Prezydenta stoi dyr. Heine. Za nimi gen. Konarzewski i Rozeń. Fot. Marjan Fuks



Senator J. Simonek, prezes czeskich Zakładów Skody



Dr. V. Sykora, naczelny dyrektor czeskich Zakładów Skody



Inż. V. Hromadko, naczelny dyrektor mech. fabr. czeskich Zakładów Skody

MSZA ŚW. NA INTENCJĘ ROZWOJU SKODY



Inż. Tadeusz Heyne, naczelny dyrektor Polskich Zakładów Skody na Okęcie



Prof. inż. St. Płazański, dyrektor techniczny Polskich Zakładów Skody na Okęcie



Obecni: p. Prezydent Rzeczypospolitej prof. Ignacy Mościcki. W pierwszym rzędzie siedzą pp. ministrowie: rolnictwa Niezabytowski, Przem. i Handlu Kwiatkowski, poseł czechosłowacji dr. Girs. Za nim radca handlowy poselstwa Czechosłowacji prof. Lom. W następnym rzędzie siedzą: gen. Rozen, obok czechosłowacki atache wojskowy płk. Viest. Z prawej strony stoi szef Dep. lotn. płk. Rayski, obok b. prezes Skody dyr. Plewiński, dyr. kancelarii cywilnej Prezydenta Rzplitej adw. Dzieciolowski i dysponent Polskich Zakł. Skody p. Kabat.



dobitnie, iż zarówno władze nasze cywilne, i wojskowe, jak społeczeństwo, ocenili należycie doniosłość otwarcia tej nowej placówki. Niewiele bywa u nas uroczystości, któreby potrafiły ściągnąć tak liczną i wybitną publiczność. Przybyło ogółem około 800 osób, nie licząc miejscowych urzędników i robotników fabrycznych. Uroczystość odbyła się w wielkiej hali fabrycznej, w której przed ołtarzem polowym odprawił nabożeństwo J. E. Biskup Polowy ks. Stanisław Gall. Po mszy świętej ks. Biskup Gall dokona poświęcenia gmachów.

Na uroczystość przybył Prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki, akcentując w ten sposób swe uznanie dla znaczenia nowych zakładów w interesie obrony krajowej i życia gospodarczego. Przybyli również liczni członkowie rządu, a wśród nich minister przemysłu i handlu inż. Kwiatkowski, minister rolnictwa Niezabytowski, zastępca ministra Wojny marszałek Józef Piłsudski, generał Konarzewski, Szef lotnictwa Wojskowego pułk. Rayski, komendant mia-

sta pułk. Rozeń, jen. Skierski, jen. Litwinowicz oraz wielu innych oficerów różnych rodzajów broni. Licznie również przybyli dyrektorowie departamentów, naczelnicy wydziałów oraz przedstawiciele świata nauki, finansów, przemysłu, handlu i prasy.

Poselstwo Czechosłowackie uczestniczyło in corpore z posłem ministrem pełnomocnym Girsą, attache wojskowym pułk. Viestem i radcą handlowym prof. Lomem naczele.

Po poświęceniu wygłoszono szereg przemówień powitalnych. Rozpoczął je imieniem Rady Spółki Akc. Polskich Zakładów Skody inż. Stanisław Jan Okolski, który na wstępie złożył gorącą wdzięczność Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej za zaszczyt uroczystości swą obecnością, jak również licznie zgromadzonym przedstawicielom rządu, wojskowości, kół gospodarczych i przyjaciółom firmy za tak liczny udział.

Podkreślając następnie powagę wielkich zakładów Skody mówca w za-

kończeniu wznosił okrzyk na cześć Rzeczypospolitej Polskiej i jej Prezydenta.

Następnie zabrał głos szef departamentu lotnictwa pułk. Rayski, który życzył zakładom, aby wytwórczość ich przyczyniła się do dalszego świetnie zapoczątkowanego rozwoju naszego lotnictwa.

Mówił dalej prezes Czechosłowackich Zakładów Skoda, Senator Simonek, który po powitaniu Pana Prezydenta, ministrów i wszystkich gości oświadczył: „Tem większy spotyka mnie zaszczyt i tem większa jest moja radość, że nowa ta placówka będzie terenem współpracy naszej z Waszą, przez Boga błogosławioną Ojczyzną.

Po tem serdecznym przemówieniu Prezydent Rzeczypospolitej prof. Mościcki i minister przemysłu i handlu inż. Eugeniusz Kwiatkowski wyrazili osobiście Panu Senatorowi Simonkowi podziękowanie.

W mieniu Rady Polskiego Związku Przemysłowców Metalowych wygłosił przemówienie prezes Rady, inż. Jeziorański, który w dłuższym przemówieniu, charakteryzował wagę otwarcia Polskich Zakładów Skody.

W zakończeniu przemówił naczelny dyrektor Polskich Zakładów Skody, inż. Tadeusz Heyne.

Po wysłuchaniu przemówień Pan Prezydent Rzeczypospolitej wraz z gośćmi zwiedzał szczegółowo wszystkie działy fabrykacji, ujawniając wielkie zainteresowanie nową u nas gałęzią przemysłu.

Po obejrzeniu zakładów dyrekcja fabryki wydała śniadanie, w budynkach fabrycznych, podczas którego, w serdecznym nastroju, wygłoszono wiele przemówień, w których dało się wyczuć szczere wyrazy uznania sfer przemysłowych dla wybitnej i owocnej pracy Zakładów Skody.

Trzeba jeszcze w zakończeniu podkreślić wysoce sympatyczny akt ze strony gości czeskich, którzy wraz z prezydentem senatorem Simonkiem na czele złożyli imieniem Czechosłowackich Zakładów Skody piękne wieńce na grobie Nieznanego Żołnierza. Ta pamięć o szarym Nieznanym Żołnierzu była dowodem szczerych uczuć, łączących Polskę i Czechosłowacją.

Jan Czempiński

Na dwóch biegunach

W polskim przekładzie ukazały się dwie charakterystyczne książki beletrystyczne: L. Seifulinej „Mierzwa” i Pawła Moranda „Swawolna Europa”. Są to dwa bieguny kultury. Stykają się jednak te przeciwieństwa. Żartuje sobie Paul Morand ze swoich wizji „Swawolnej Europy”, nie szczędzi słów prawdy rzeczywistości bolszewickiej Seifulina. Wklęśte zwierciadło Moranda parodjuje trochę życie, bezlitosna soczewka obserwacji rosyjskiej beletrystki pokazuje tragiczną parodię rzeczywistości, którą chciałoby się uważać choć za „mierzwę” lepszej przyszłości.

Czy pisarz francuski jest zadowolony ze swego świata zachodnioeuropejskiej rzeczywistości? Gdyby odpowiedź tę uzyskać z jego „Zwierciadła o trzech odbiciach” lub „Rozkoszy nadreńskich” — to byłaby ona mało pozytywna. Niepoważna choć nieraz tragiczna jest psychika ludzi, wydarzeń, zagadnień, przesuwających się w kalejdoskopie jego opowiadań. Nawet gdy dotyka spraw rosyjskich — traktuje swój materiał beletrystyczny bez specjalnego nastawienia. Jest w tem paryska dezynwoltura. Gdy jednak czyta się opowiadania Seifulinej — wyrasta przed oczami potworna, bezlitosna, krwawa prawda o życiu rosyjskim. Jest ono jaskiniowe, troglodyckie, pozbawione uczuć. Nawet piękno

przyrody, budzenie się wiosny wizja beletrystki przedstawia w linjach uproszczonych. Piszę bowiem:

„Ciepłyszem uczyniło się tchnienie wiatru. Opadły, czerniały śniegi. Z pod śniegu tchnęła na ludzi podniecająca lubieżność ziemi, jej wiosenne pożądanie i przeczucie zapłodnienia. Starzy, mądremi, wiedzącymi oczami określali, kiedy w obejściu i w rodzinie będzie przychówek”.

Tak prosto, naturalistycznie i tylko naturalistycznie przedstawia się Seifulinej życie. Wie ona, że jest tylko „mierzwa”, uprawa pod coś, co ma przyjsć. Wiara w możliwość tej nowej rzeczywistości łagodzi trochę okrucieństwo jej wizji artystycznej.

Dwa bieguny europejskiej rzeczywistości przeglądają się w opowiadaniach Moranda i Seifulinej. Wskazują, że nie są to jednak wizje Europy, co losami własnemi umie pokierować według celowej, rozważnej, planowej, przewidującej myśli. Czy taka Europa istnieje? Nie trzeba nawet o to pytać; ale jest ona w piśmach beletrystycznych nie tych żartobliwych czy naturalistycznych pisarzy.

Notatki artystyczne

WYSPIAŃSKI — ARTYSTA — CZŁOWIEK — ŻYCIE

Twórczość St. Wyspiańskiego jest przedmiotem licznych rozważań. Interesuje, jako piękno słowa, podziw budzi jako

wizja malarska. Prof. Wincenty Trojanowski napisał książkę, analizującą dzieło malarskie twórcy znakomitych witraży i polichromji kościoła Świętego Franciszka w Krakowie. Wyspiański — malarz w historii naszej plastyki posiada własną, oryginalną kartę. Szeroki ogół nie zdaje sobie dostatecznie z tego sprawy. Wyspiański — dramaturg odsunął cokolwiek z widowni Wyspiańskiego — malarza. Jest on jednak twórcą o równorzędnej sile realizacji swoich zamierzeń artystycznych. Prof. Wincenty Trojanowski w książce swojej pokazał, jak poważnie, jak pracowicie, jak dostojnie traktował swój zawód Wyspiański. Liczne listy, przytoczone przez autora tej książki, mówią, przez jakie trudy, zwątpienia, wzloty przechodził znakomity, genialny malarz. Niewszyscy doceniali jego talent. Witraże Wyspiańskiego, teraz tak cenione i podziwiane, spotkały się z oporem pewnych kół opinii artystycznej. Wyspiański pracował w nędzy. Za dzieła swoje brał grosze. Interesujące szczegóły o honorariach z kościoła Franciszkańskiego, o zamówieniach ze Lwowa przytacza prof. Trojanowski. Wogóle trzyma się on faktów, zaczerpniętych z korespondencji, ze wspomnień ludzi, którzy stali w bliskim związku z twórcą „Wesela”. Metoda ta daje dobre rezultaty: obserwuje się, jak gdyby osobiście, rozwój życia i narastanie twórczości. Książka ta stwierdza jeszcze raz niezbicie smętną prawdę: niełatwo żyje się w Polsce artyście. Trzeba wielkich zasobów energii i wiary, borykając się z nędzą, znajdować jeszcze czas i siłę na twórczość oryginalną, przysparzającą chwały polskiemu imieniu.

Książka prof. W. Trojanowskiego winna obudzić duże zainteresowanie. Mówi przecież o twórcy o renesansowym rozpięciu możliwości artystycznych.

KONJAKI
V. S. O. P.
Jubileuszowy — Rés. Spéciale
Winiak Médicinal — Winiaki mieszane

Winkelhausen

WÓDKI — LIKIERY
Stołowa — Starka — Żytniówka
Banań — Morełówka
Grand Cardinal — Cordial Médoc

ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE WINKELHAUSEN, TOW. AKC. STAROGARD — POMORZE, ZAŁ. 1846.

TAM KUPUJCIE!



M. ARCTA
ARTYSTYCZNE
KSIĄŻKI OBRAZKOWE
PO 3 ZŁOTE
DLA MAŁYCH DZIECI
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH!

FABRYKA MEBLI
SP. AKC. „DYMMEK”
Poleca meble solidnej roboty
od najwykwintniejszych do najskromniejszych
Skład Fabryczny KRÓLEWSKA Nr. 9

WARSZAWSKA WYTWÓRNA TRYKOTAZI
Tricot
MARSZAŁKOWSKA 129-TEL. 42-81-9453

M. E F R A I M
Długa 50 (Pasaż Simonsa)
Marszałkowska 125 Nowy Świat 41
JEDWABIE -- KORONKI

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SPRAWY PAŃSTWOWE

Kadencja Sejmu i Senatu zakończona. Prezydent Rzeczypospolitej wydał dekret o wygaśnięciu mandatów.

Sytuacja przedwyborcza przedstawia się na razie bardzo chaotycznie. Ani w lewicy, ani w stronnictwach chłopskich nie zarysowały się jeszcze wyraźne bloki wyborcze.

Ważne narady odbył premier Piłsudski w Wilnie z udziałem ministrów Zaleskiego i Knolla, posłów Patka i Łukasiewicza oraz administracyjnych władz lokalnych. Omawiano przede wszystkim sprawę emigrantów kowieńskich, chroniących się na polskie terytorium.

Na narady Ligi Narodów wyjeżdża przedstawicielstwo polskie z ministrem Zaleskim na czele. Nie jest wykluczone, że w razie potrzeby także premier uda się do Genewy.

Umowa emigracyjna polsko - niemiecka została podpisana w Warszawie. Uregulowanie tej sprawy było od dawna konieczne.

LITWA I POLSKA

Sytuacja polityczna w Kownie w najwyższym stopniu naprężona. Dni dyktatury Waldemarasa policzone; ogół ludności jest wrogo względem niego usposobiony.

Dyplomatyczną interwencję podjęli w Kownie przedstawiciele ententy, doradzając Litwie stworzenie rządu konstytucyjnego i znalezienie modus vivendi z Polską.

Gwałtowne skargi na rzekomą agresywność Polski w stosunku do Litwy podniósł Waldemarasz w trzech notach, wystosowanych do Ligi Narodów. Nikt nie bierze ich na serio.

Rząd polski rozesłał do państw notę, w której stwierdza, że pragnie nawiązać z Litwą normalne pokojowe stosunki, licząc w tym dążeniu na pomoc wszystkich rządów i oświeconej opinii świata.

SPRAWY POLSKIE

Rokowania berlińskie o traktat handlowy dały pomyślny rezultat, przygotowując grunt do dalszej pracy.

Dalsze rokowania handlowe z Niemcami toczą się w Warszawie przy udziale delegacji niemieckiej z byłym ministrem p. Hermesem na czele. Z polskiej strony przewodniczący minister Juliusz Twardowski.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Pp. Litwinow i Stresemann odbyli narady w Berlinie. Mówili zwłaszcza o Litwie, pretendując do roli aniołów stróżów zabezpieczenia pokoju Wschodniej Europy.



NAWET NAJZDROWSI
winni stosować do kąpieli Silv-Ozon
„Motor” w gałkach. Silv-Ozon „Mo-
tor” jest przyrządzony ze świeżej
kosodrzewiny. Po kąpieli każdy
czuje się rzeźkim i silnym.
Wstrzegaj się tanich bezwartościowych naśladowstw
pozbawionych własności leczniczych.

PRZYBORY PODRÓŻNE
GALANTERIA SKÓRZANA
J. KUCZMIEROWSKI
108, MARSZAŁKOWSKA 108

LOSY LOTERJI PAŃSTWOWEJ

należy kupować tylko w słynnej
ze szczęścia na świat cały
kolekturze

E. LICHTENSTEIN i S-ka

Warszawa, Centrala kolektury Marszałkowska 146
lub też w oddziałach tej kolektury Bielańska 3,
Krakowskie-Przedmieście 37, Królewska 39. Kró-
lewska 43, Nalewki 42, w Łodzi Piotrkowska 72
w gmachu Grand Hotelu.

Szczęście stale sprzyja
graczom tej kolektury!



SWING
Jedynie najlepsze
szwedzkie nożyce
do golenia
TEL. 1-20
EMIL TREPTE
Marszałkowska 147
ZADAC WSZEDZIE!

HURT I DETAL

Wysyłki na prowincję za zaliczeniem



MAGAZYN
WYKWINTNEJ GALANTERYI
W. GOLIŃSKA
WARSZAWA
PLAC TEATRALNY

SAMOCCHODY
CITROËN
WIERZBOWA 6.

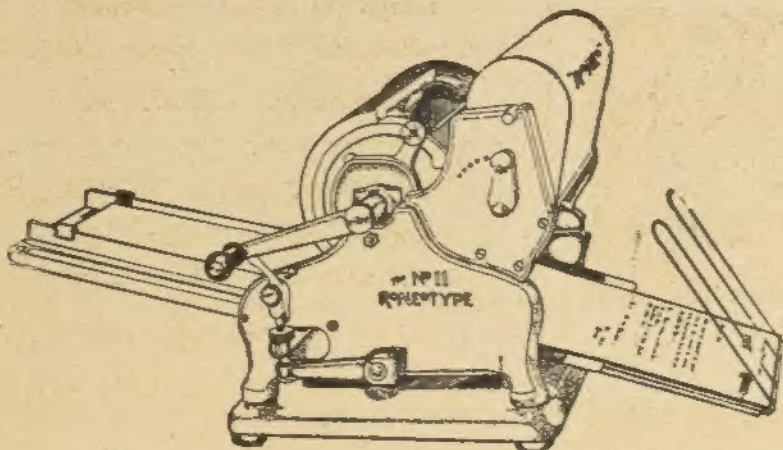
ŁÓŻKA, UMYWALNIE, WANNY,
WYZYMACZKI „GLORIA”
WYROBY STALOWE, LODOWNIE POKOJOWE
MASZYNY DO ŁODÓW
NACZYNIA KUCHENNE
EMIL TREPTE
Marszałkowska 147-148

Zanim się zdecydujesz
na radio-aparat, musisz
posłuchać demonstracji
nowych modeli odborników
Polskich Zakładów Radiotechnicznych
WARSZAWA Boduena 4 TEL. 303-00. KATALOGI GRATIS.

OSZCZĘDZAJĄ CZAS I PIENIĄDZE

POWIELACZE I DRUKARKI

RONEO



DEMONSTRUJE BEZ ZOBOWIĄZANIA DO KUPNA

Tow. BLOCK-BRUN, SP. AKC.

WARSZAWA—HOTEL BRISTOL

ODDZIAŁY:

KATOWICE, KRAKÓW, LWÓW, ŁÓDŹ, POZNAŃ, WILNO, GDAŃSK

PIERWSZA W KRAJU WYTWÓRNIĄ POŚCIELI
I BIELIZNY POŚCIELOWEJ

Nagrodzona Medalami ostatnio na wystawie „Mieszkanie i Jego Kultura”
Złoty Medal

WŁ. WROTNOWSKI

Warszawa, Plac Saski 1. Egzystuje od 1857 r. Telefony: 171-13, 408-60.

TYDZIEŃ GWIAZDKOWY. Własny wyrób. SPRZEDAŻ REKLAMOWA

Eustachego Czekalskiego

PROSTE DROGI

Do nabycia w księgarniach



Andrzej Weese

urodzony w roku 1735, był
pierwszym założycielem
dziś słynnej na cały świat
fabryki pierników
i wyrobów czekoladowych

176
LAT

chwali cały świat
Weesego toruńskie
katarzynki i pierniki,
które w smaku są
niezrównane.

ZYGWA



ZAJĄC DO ZAJĄCA:

— A zdawałoby się, że rozmawiają całkiem
rozumnie. Słyszałeś? Mówią, że rozbrowienie jest
koniecznością.

Le Rire.

CAŁA WYTWORNA
WARSZAWA SPOTYKA
SIĘ TYLKO

W KAWIARNI
RESTAURACJI

GASTRONOMJA

NOWY-SWIAT 16

GDZIE STAŁE KONCER-
TUJE ZNANY SEKSTET
WIEDEŃSKI

LOKAL OTWARTY:
OD 9-ej RANO
DO 4 W NOCY

CAFFE ITALIA

W WARSZAWIE
NOWY ŚWIAT 23/25

Caffe Italia w Warszawie, Nowy Świat 23/25 to modna kawiarnia naszej stolicy, uczęszczana przez wytworną publiczność

Znakomite napoje, kawy, czekolady c. c. t. oraz ciasta, ciastka i t. p. wyroby w zakres cukiernictwa wchodzące. Piwnica zaopatrzona w wina i likiery.

Wieczorami od g. 6 przygrywa zespół muzyczny o wysokim poziomie artystycznym, w niedziele i święta poranki muzyczne.

Caffe Italia przy cenach konkurencyjnych zdobyła zaufanie naszej publiczności. Italia idąc drogą postępu, w górnych swych salach zainstalowała bilardy, które są czynne od kilkunastu dni, sale bilardowe widne wysokie specjalnie na ten cel urządzone, świecić mogą przykładem higieny i komfortu.

Ela



Od pół wieku w użyciu
BARBA DO WŁOSÓW we wszystkich
odcieniach. Przywraca pierwotny
kolor i połysk siwym włosom.
Przepis użycia - każdym pudełku.

== ZADAĆ WSZĘDZIE ==

SPROSTOWANIE

W numerze 47 „Świata” zamieszczono notatkę p. t. „Nowe laureatki”, w której mylnie wydrukowano nazwisko p. Haliny Marji Dąbrowskiej, utalentowanej nowelistki, autorki nagrodzonej noweli p. t. „Weronika”.

PIELEGNOWANIE PRAWIDŁOWEJ CERY nie wymaga nieodzownie ożywania kremem ożywczym „Oxa” D-ra Lustra. Rano i wieczorem powlec twarz kremem matowym D-ra Lustra, a po 10 minutach zmyć gorącą wodą i D-ra Lustra otąbkami migdałowymi. Podkład kremu pod puder zbyt czyny, ponieważ wykwintny puder egzotyczny D-ra Lustra przylega bez podkładu ściśle do skóry.

Ciąg dalszy nastąpi.

Numer 11-ty Miesięcznika Ilustrowanego
„MUZYKA”

pod redakcją MATEUSZA GLIŃSKIEGO.
Zawiera prace: M. Glińskiego, B. Hubermana, Zdz. Kleszczyńskiego, W. Łabuńskiego, J. Mikietty, Stan. Moniuszki (Nieznane listy), F. Starzewskiego, K. Szymanowskiego i inn. W dziale bieżącym sprawozdania z Warszawy, Lwowa, Poznania, Katowic, Paryża, Bayreuthu, Hamburga; nowe wydawnictwa, przegląd prasy, kronika, ankiet i konkursy.

Red. i Adm.: Warszawa, Kapucyńska 13.



WODA BRZOZOWA D- DRALLEGO

MYDŁO DRALLEGO

PERFUMY DRALLEGO

WODA KWIATOWA DRALLEGO

WODA KOLONIKA DRALLEGO

PERFUMY "ILLUSION" BEZ ALKOHOLU DRALLEGO

WYROBY FABRYKI PERFUM **GEORG DRALLE**

rozpowszechnione
na całej kuli ziemskiej



JAK ZACHOWAĆ ŚWIEŻĄ I PIĘKNĄ CERĘ?

Każda z Pań pragnęłaby zawsze wyglądać świeżo i pięknie. Niema w tym nic dziwnego, że Panie starają się powstrzymać okrutne działanie czasu. Używają w tym celu różnych środków. Musimy wszakże przestrzec Was Nadobne Czytelniczki, „żebyście były bardzo ostrożne w swoich zabiegach odmładzających. Tylko poważna fabryka potrafi dać Wam artykuł wypróbowany i naprawdę

skuteczny ponieważ wytwarza go pod kierunkiem najlepszych lekarzy specjalistów. Takim właśnie środkiem jest „PŁYN-SIMI”

Berlińskiego Laboratorium Kosmetycznego.

„PŁYN-SIMI” usuwa zużyte soki z naszej skóry i powoduje wzmożony dopływ świeżej limfy z głębszych tkanek podskórnych, przez co skóra nasza bardzo szybko ożywia się i odmładza, giną wszelkie fałdy, zmarszczki, wagi itp. „PŁYN-SIMI” można polecić, jako preparat, istotnie, pierwszorzędnej wartości

Dr. R.

DO NABYCIA W SKŁADACH APTECZNYCH I PERFUMERJACH
GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO NA POLSKĘ w. m. GDAŃSK
ZAKŁ. PRZEM. „PROTON” UL. ŚW.
CHEM.-FARM. STANISŁAWA 9-11
TELEFON 203-34



ŚWIEŻEGO ZBIORU Herbata „Z KOPERNIKIEM”

ZNANA ZE
SWEGO
SMAKU
I AROMATU



ŻADAĆ
WSZĘDZIE
MIESZANEK
Nr. Nr.
190, 100 i 23

Skład Główny: Bracka 23. Warsz. Tow. Handlu Herbatą
A. DŁUGOKĘCKI, W. WRZEŚNIEWSKI S. A.
Filja: Moniuszki 3



POLSKA AKCYJNA SPÓŁKA ELEKTRYCZNA

WARSZAWA | ŁÓDŹ
AL. UJAZDOWSKIE 47 | UL. PIOTRKOWSKA 79

SYGNALIZACJA POŻAROWA
Sygnalizacje: OSTRZEGAWCZE
I ALARMOWE
WSZELKIEGO RODZAJU

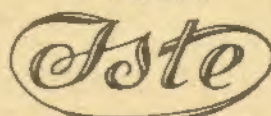


Wyjście z chaosu

w wyborze mydeł toaletowych znajdziesz
kupując mydła

firmy J. & S. Stempniewicz Poznań

MYDŁA



PRZEWYŻSZAJĄ
MYDŁA ZAGRANICZNE





W jaki sposób uczynić każdy posiłek rozkoszą!

W myśl twierdzenia słynnego lekarza nie należy żyć, aby jeść, lecz odżywiać się, aby móc należycie wykonywać swe obowiązki.

Pożywienie nieodpowiednie wywołuje zły wygląd, zaburzenia żołądkowe, psuje humor, zmniejsza siły do pracy, zakłóca sen i. t. d. Stąd wniosek, iż w kwestji odżywiania jakość pokarmu jest ważniejsza od ilości.

Wychodząc z tego założenia, Ovomaltine stanowi prawdziwą rozkosz zarówno dla podniebienia, jak i dla żołądka. Jako pokarm wysoce odżywczy, łatwostrawny i o miłym smaku, dostarcza ona organizmowi

wszystkich niezbędnych dlań substancji, nie obciążając przytem organów trawiennych.

Początkowo przeznaczona jedynie dla chorych, wkrótce stała się Ovomaltine rannym posiłkiem każdego pracującego człowieka.

Niech nam wolno będzie przytoczyć przykład.

Sprawozdanie lekarza:

„..... lecz ilekroć najstarsza i najmłodsza djeta zawiedzie, otrzymamy zawsze dobre wyniki, stosując Ovomaltine'ę.“

Ovomaltine wnosi zdrowie i radość do pokoju chorego, smakuje każdemu i jest nadzwyczaj łatwostrawna. Daje ona siły i odporność, jakich potrzebuje każdy, aby stawić czoło ciężkim warunkom współczesnego życia.



Mała przedtem bledziutka, rozkwitła jak róża... to też cała rodzina zaczęła przyjmować Ovomaltine'ę.

OVOMALTINE

podtrzymuje i zwiększa siły.

Dr. A. WANDER S. A., BERN

Firma założona w 1865 r.

Stosując Ovomaltine'ę rano, uczynicie rozkosznem wasze pierwsze śniadanie.

Ovomaltine'ę przyrządza się bardzo szybko: rozpuścić 2 łyżeczki do herbaty w filiżance gorącego mleka (nie gotując) i ośłodzić do smaku. Otrzymamy wyborny napój odżywczy, wysoko ceniony również podczas wycieczek.

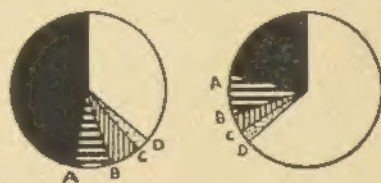
W sprzedaży wszędzie w puszkach 250 i 500 gramowych. Żądajcie prób bezpośrednio od fabryki.

Próba strawności Ovomaltine'y.

z zastosowaniem sztucznego soku żołądkowego.

na lewo: roztwór 2 łyżek do herbaty Ovomaltine'y w wodzie. na prawo: czyste mleko krowie.

Poniższe wykresy wskazują całkowitą ilość białka zawartego w każdej z tych cieczy.



Ilość rozpuszczonej proteiny:

	A.	B.	C.	D.
	na początku doświadczenia	po upływie 1 godziny	po upływie 2 godzin	po upływie 4 godzin
Mleko	22,3%	28,6%	31,6%	33,3%
Ovomaltine	47,2%	55,3%	62,0%	63,5%

Stwierdzamy, iż Ovomaltine na początku procesu zawiera podwójną ilość protein, przyczem proces jej trawienia odbywa się o wiele prędzej.